ROK XVII NR 13 (854) ŁÓDŹ, 28. III – 1. IV. 1974 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ODGŁOSY

DZIŚ W NUMERZE:

STEFAN BRATKOWSKI, WITOLD FILLER, HAMILTON, ALEKSANDER JACKIEWICZ, ANDRZEJ OSĘKA, JERZY URBAN, KONSTANTY PUZYNA, EDWARD REDLIŃSKI, JADWIGA RADOMIŃSKA, MIECZYSŁAW F. RAKOWSKI, ALEKSANDER ROWIŃSKI, WILHELM SZEWCZYK, BOHDAN TOMASZEWSKI, KRZYSZTOF T. TOEPLITZ

W tym numerze część publikowanych materiałów opatrzyliśmy winietką „Odgłosy" naszych marzeń". Z okazji 1 kwietnia pozwoliliśmy sobie na wizję pisma w którym drukują najbardziej znani publicyści i pisarze Polski. Oczywiście – to tylko pierwszokwietniowa wizja. Takiego pisma, w którym drukują t y l k o najtęższe pióra – być nie może i chyba nigdy nie było. A już na pewno poza Warszawą.

Być może Czytelnicy zarzucą nam, że w tej primaaprilisowej wizji jest wielkie materii pomieszanie. I będą mieli rację, bowiem każdy z nas prezentował na łamach pierwszokwietniowych „Odgłosów" swoich ulubionych autorów. Taki cocktail mógł dać w efekcie mieszankę dość niecodzienną – ale o to przecież chodzi.

Gdybyśmy chcieli uzyskać oryginalne materiały naszych ulubionych autorów – pewno numer „Odgłosów naszych marzeń" ukazałby się gdzieś około roku 1990. Nie chcieliśmy tak długo czekać – prezentujemy więc naszym Czytelnikom galerię przedruków – z książek, czasopism, miesięczników. Myślę, że nasi Czytelnicy wybaczą nam ten – konieczny zabieg – i z zainteresowaniem przeczytają „Odgłosy", w których pisze Hamilton zamiast Widoka, KTT zamiast Ćwieka, Puzyna zamiast Frejdlicha... I tak dalej.

Dalej – czyli za tydzień – będzie już normalnie. Proszę się więc zbytnio nie przyzwyczajać do tej wizji „Odgłosów" naszych marzeń". Za tydzień będą już tylko „Odgłosy" dnia powszedniego.

ANDRZEJ BLAJER

(II)

WILCZE GNIAZDO

Głównym zadaniem batalionu ochrony Führera (FBB) była stała gotowość do podjęcia szybkiej kontrakcji w wypadku ewentualnego ataku na kwaterę Hitlera lub przy próbie przeniknięcia na jej teren. Była to jednostka zmotoryzowana, wyposażona w czołgi, artylerię przeciwlotniczą i inną broń ciężką. W rejonie Goldapi, około 70 km na wschód od Kętrzyna stacjonował z kolei batalion komandosów, specjalnie szkolonych do walki ze spadochroniarzami i komandosami przeciwnika. W wypadku przeniknięcia obcych wojsk w rejon kwatery głównej – a w lipcu 1944 r. już się poważnie liczono z tą ewentualnością, bowiem czoło wojsk radzieckich znajdowało się 19.7.1944 r. pod Augustowem, a więc o niespełna 100 km na wschód od „Wolfschanze" – samoloty miały za zadanie natychmiast przerzucić komandosów na jej teren. Pomimo tych środków ostrożności wydaje się, że niebezpieczeństwo desantu spadochroniarzy było stosunkowo niewielkie z uwagi na stopień zalesienia rejonu kwatery oraz liczne jeziora i mokradła.

Inną jednostką wchodzącą w skład wojsk ochrony „Wolfschanze" był tzw. Führer-Flak-Abteilung (oddział artylerii przeciwlotniczej) dowodzony przez majora Rotha. Został on rozlokowany częściowo na terenie samej kwatery i wokół niej, oraz częściowo na lotnisku pod Kętrzynem. Zadaniem jego było niedopuszczenie do bombardowania tych obszarów przez samoloty aliantów. System ostrzegania o nalotach znajdował się w gestii Führer-Luft-Nachrichten-Abteilung (FINA), który wchodził w skład tzw. Flak-Gruppe „Masuren" (grupą artylerii plot. „Mazury").

W skali ogólnej za prawidłową pracę służb alarmowych było odpowiedzialne dowództwo floty lotniczej „Reich" w Królewcu. Do zadań FLNA należało wykrywanie w promieniu 80–100 km wszystkich pojedynczych samolotów, o których nie donosiły komunikaty z floty powietrznej „Reich" i przekazywanie meldunków o nich do kwatery głównej. Realizowano to przy pomocy odpowiednich środków namiarowych o wszystkim meldując centrali alarmów, którą była wspomniana Flak-Gruppe „Masuren". Ta z kolei była obowiązana alarmować o przelotach samolotów – komendanta kwatery głównej, ministra spraw zagranicznych Rzeszy Ribbentropa, w jego kwaterze polowej w Steinort, oraz Reichsführera SS Himmlera stacjonującego w kwaterze „Hochwald" w Pozyzdrzu opodal „Wolfschanze".

W wypadku bezpośredniego zagrożenia ze strony wojsk przeciwnika, na całym obszarze kwatery głównej przewidywano natomiast ogłoszenie stanu pełnej gotowości bojowej bądź to drogą telefoniczną, bądź przez łączników. Wszystkie oddziały zabezpieczające teren były obowiązane do zajęcia swoich stanowisk bojowych, podwojenia posterunków i patroli oraz do „wzmożenia czujności". Oświetlenie terenu było wówczas wyłączane centralnie. Syreny i telefoniczne rozkazy a także wystrzały dział przeciwlotniczych znamionowały stan pełnego pogotowia.

Wszyscy żołnierze nie wyznaczeni do służby wartowniczej lub oddziałów obrony kwatery byli obowiązani natychmiast po ogłoszeniu alarmu zajmować stanowiska przy wejściach do schronów, baraków oraz pilnować porządku przed budynkami i brać udział w gaszeniu ewentualnych pożarów wywołanych bombardowaniem. Gdyby alarm został ogłoszony w nocy, wówczas żołnierze oddziału ochrony i służby porządkowej, musieli posiadać na rękawach swoich mundurów obowiązujące w tym dniu opaski oraz znać odpowiednie hasła. Każdy kto by się nie zastosował do tych zarządzeń, mógł być uznany za wroga i zastrzelony. W maju 1944 r. przepisy o alarmach uległy dalszym zaostrzeniom.

Dalszy ciąg na str. 4

ODGŁOSY naszych marzeń

JAN SZCZEPAŃSKI

BOGDA MADEJ prezentuje:

Jadwiga Radomińska doskonale jest znana czytelnikom „Kulis", głównie z rozmów, które przeprowadza ze sławnymi ludźmi. Tadeusz Breza tak o niej pisał:

„Jakimś siódmym zmysłem, w którym jest pełna finezyjności kobiecość, Radomińska wyczuwa, co może wydobyć z rozmówcy. Dlatego reaguje ona tak doskonale na partnera, a partner na nią, ponieważ wiedzie ją nieomylna intuicja".

Rozmowa z prof. Janem Szczepańskim wybrana jest z książki Jadwigi Radomińskiej „Spotkania zapisane".

— Może na wstępie naszej rozmowy poproszę pana o jakieś istotne elementy pańskiej biografii — zwracam się do przewodniczącego Międzynarodowego Stowarzyszenia Socjologicznego i dyrektora Instytutu Filozofii i Socjologii PAN.

— Urodziłem się za miłościwie nam panującego cesarza Franciszka Józefa w Ustroniu koło Cieszyna, w chłopskiej rodzinie. Umiejętności i wprawę w manipulowaniu ludźmi zdobywałem pasąc krowy mniej więcej do siedemnastego roku życia. W tym czasie dojeżdżałem już do gimnazjum. Wstawałem około godziny 5 rano i ten nawyk okazał się przydatny w całym moim późniejszym życiu. Lekcje odrabiałem w poczekalniach i w pociągu i wtedy też wyrobiłem w sobie umiejętność skupienia się do pracy umysłowej w każdej sytuacji i w każdych warunkach. Umiejętność tę pogłębiłem w czasie wojny, pracując

Dalszy ciąg na str. 3

OJ, TA „BALLADYNA"...!

... dlaczego nie możemy oderwać się od cudów i czarów *Balladyny*, a kiedy znowu skargi *Lilli Wenedy* zadźwięczą, serce rozdziera się nam na kawały? (...) Hm... dlaczego? Dlatego, panowie, że Słowacki wielkim poetą był! Wałkiewicz! Dlaczego? Niech Wałkiewicz powtórzy — dlaczego?

WITOLD GOMBROWICZ
Ferdydurke

Zza kulis rozlega się głośny gwizd motorów. Dwaj rośli motocykliści w stroju amerykańskich rugbystów wjeżdżają na scenę. Japońskie hondy, rycząc na wysokich obrotach, kierują się ku pochyłemu pomostowi w kształcie podkowy wznoszącemu się od sceny do bariery pierwszego balkonu i powracającemu z powrotem na scenę. Dwaj jeźdźcy wpadają na blaszany pomost z przeciwnych końców, objeżdżają go w zawrotnym tempie, mijając się precyzyjnie o centymetry w najwyżej położonym punkcie. Publiczność z pierwszych rzędów parteru odwraca się i zadziera głowy jak na jarmacznej ścianie śmierci. Ale motocykliści już znowu są na scenie i obracają się po niej w miejscu, omiatając mrok strumieniami światła ze swoich reflektorów. Istny balet zmotoryzowany!

Ale widza czekają jeszcze silniejsze emocje. Oto na pomoście zjawia się nowy motocyklista, w białym hełmie i białym opiętym kombinezonie. Twarz jak u żużlowców zakryta zawiązaną wyżej nozdrzy chustką. Lewą nogą, w skórzanym bucie z cholewą do pół uda, podpiera się na wirażach ze sprawnością Jancarza czy Woryny. Honda rwie z niepohamowaną szybkością. Białe zjawisko odbyło w mgnieniu oka rundkę po pomoście, by zatrzymać się między dwoma poprzednikami na środku rozświetlonej już sceny. Zdejmuje z twarzy chustkę, spod hełmu wysypują się długie złote włosy. To dziewczyna. Przemawia nie zmienionym tekstem Goplany:

„Narwij mi róż, Chochliku! poleciał mój wianek".

Dalszy ciąg na str. 6

NIEZNANY WIERSZ JULIANA TUWIMA

Wiosna roku 1974 przyniosła nam dość niezwykłe odkrycie historyczno-literackie. Wydawało się bowiem, że odnaleziono już wszystko z bardzo bogatej spuścizny Juliana Tuwima — a tu niespodzianie w sztambuchu jednego z łódzkich numizmatyków rodzina odkryła wiersz napisany przez Tuwima w roku 1926. Żartobliwy ten utwór nigdy nie został opublikowany, zdaje się, że sam Poeta o nim po latach zapomniał.

Nie wiadomo dziś, w jakich okolicznościach powstał ów wiersz datowany **„Łódź 12 marca 1926"**, wiadomo bowiem, że Tuwim opuścił Łódź w roku 1916. Przyjeżdżał jednak, miał tu rodzinę i przyjaciół. Z opowiadania Mariana Brandysa **„Śmierć Don Juana"** wynika, że w roku 1926 odbyło się w Gimnazjum Miejskim w Łodzi spotkanie autorskie Tuwima z młodzieżą. Być może wiersz ów powstał w czasie tej bytności Poety w rodzinnym mieście.

Wiersz „Do pana Stanisława" nie był zresztą przeznaczony do publikacji, ma charakter żartobliwej dedykacji dla przyjaciela-numizmatyka. Jak wiadomo Julian Tuwim był namiętnym zbieraczem wszelkich staroci i kuriozów — nazywał te swoje zbierackie pasje „bzikami"... Pisał o nim we wspomnieniach:

Coś muszę wertować, w czymś szperać, coś zbierać, kolekcjonować... (...) To samo było w dzieciństwie. Pomijam powszechną u dzieci manię zbierania znaczków pocztowych i motyli (...) Potem, ni stąd, ni zowąd kolekcjonuję gazety i tygodniki". (patrz „Wiadomości Literackie" 1936, nr 6).

Nieobca była mu też numizmatyka. Odnaleziony niedawno sztambuchowy wiersz Juliana Tuwima świadczy o orientacji w tym dziale zbieractwa. A jednocześnie jest w tym wierszu jakaś ogromna sympatia i życzliwość dla owych kolekcjonerskich „bzików", ba, tworzy nawet Poeta na użytek zbieraczy Boga Kolekcjonera... Nie byłby jednak Julian Tuwim ostro patrzącym satyrykiem, gdyby w tym ulotnym wierszu nie zawarł owej ironicznej pointy na temat stosunków w ówczesnej Łodzi.

Wiersz Juliana Tuwima **„Do pana Stanisława"** ukazuje się po raz pierwszy w druku. Mamy nadzieję, że włączony zostanie, jako historyczno-literacka osobliwość, do następnych wydań utworów poety. Oryginał znajduje się obecnie w posiadaniu Biblioteki Uniwersyteckiej w Łodzi.

JERZY WILMAŃSKI

DO PANA STANISŁAWA

Cóż te banknoty, numizmaty
gdy denar nie ten co przed laty
Mamy złotówki – nie ma złota
Skąd więc do monet ta ochota?
Kochany panie Stanisławie
Tracimy czas na tej zabawie
I tylko nam nadzieja błyska
że Bóg Kolekcjon nas uściska
A w Raju czeka dar wspaniały:
Grosze, talary, portugały.
Dukaty, tynfy i ternary
i jakiś brakteacik stary
Rupie, pesety i escudo
a może dolar (jak się udo...)
Więc tylko Raj – bo w mieście Łodzi
zły szeląg wciąż w obiegu chodzi.

Łódź 12 marca 1926 roku

JAKA BĘDZIESZ DZIESIĘCIOLATKO?

13 października w samo południe siedzieliśmy przed telewizorem. Chcieliśmy z bezpośredniej transmisji z sejmu usłyszeć jaka będzie ta polska szkoła. Niektórzy wyskoczyli na godzinkę nawet z pracy pod pretekstem służbowych interesów. Nie były to wcale wyjątki. Policzmy tylko: w szkołach różnego typu uczy się w Polsce blisko 9 mln uczniów. Dodajmy do tego podwojoną liczbę rodziców i drugie tyle krewnych, przyjaciół i sąsiadów plus 500 tys. nauczycieli szkolnych i akademickich. Organizacja obecnej i przyszłej szkoły bliska jest również pracownikom wszystkich działów gospodarki zainteresowanych ilością i profilem wykształcenia przyszłych absolwentów, a także organizacjom politycznym, społecznym i młodzieżowym. Jak z tych prowizorycznych rachunków widać, trudno byłoby znaleźć w kraju obywatela, któremu z takich lub innych powodów była obojętna reforma szkolna. Jeżeli nawet nie wszyscy siedzieli 13 października przed telewizorami to wszyscy dowiadywali się później co przyniosła uchwała sejmowa.

Podjęcie uchwały poprzedziły decyzje polityczne: VI Zjazd partii przyznał nauce i szkolnictwu przodującą rolę w unowocześnianiu państwa. Postanowienia zjazdowe były podstawą do prac nad raportem o stanie oświaty przygotowanym przez Komitet Ekspertów. Z kolei publiczna dyskusja nad raportem, cele wychowania określone tezami VII Plenum KC PZPR i uchwała sejmowa z 12 kwietnia 1973 r. w sprawie młodzieży posłużyły do opracowania ostatecznego projektu systemu edukacji narodowej. Dyskusja była gorąca, odżyły w niej pasje polemiczne i różnorodne recepty rodaków na uzdrowienie szkoły polskiej. Wybrano model najbliższy potrzebom naszego szkolnictwa, model rokujący nadzieje na najszybsze wprowadzenie do praktyki szkolnej.

Oparty na założeniach II wariantu A model proponuje zatem 10-letnią szkołę średnią o jednolitym programie nauczania. Naukę w szkole poprzedzi obowiązkowy pobyt dziecka w przedszkolu. W szkole średniej wyodrębnione zostaną dwa cykle kształcenia: nauczania początkowego w klasach I-III i systematycznego w klasach IV-X. Interesujące są propozycje programowe. Otóż oprócz obowiązującej wszystkich uczniów jednolitej części programu z kolejnych przedmiotów nauczania, można będzie wybrać przynajmniej jeden program zróżnicowany z tzw. przedmiotu fakultatywnego. Każdy z tych programów wiązać będzie wiadomości z kilku dziedzin skupionych wokół problematyki: językowej, przyrodniczej, technicznej, matematycznej, społeczno-ekonomicznej, historycznej, estetycznej i zdrowotnej. Wybór programu fakultatywnego zależeć będzie od zainteresowań i zdolności ucznia. Indywidualizacji nauczania sprzyjać będzie również rozwój kół zainteresowań i zajęć pozalekcyjnych.

W tych samych szkołach średnich ci uczniowie, którzy będą mieli trudności z opanowaniem programu skorzystają z szansy nauki zawodu w klasach VIII-X lub dłużej w klasach VI-X.

Szkołę ogólnokształcącą uczeń skończy w wieku lat 17. Otworzą się wówczas przed nim następujące możliwości nauki: ci którzy zaplanują studia wyższe będą mogli ukończyć dwuletnie szkoły specjalizacji kierunkowej o profilu: ścisłym, technicznym, biologicznym, medycznym, rolniczym, społecznym, humanistycznym i innym. Szkoły te będą przygotowywały do podjęcia studiów wyższych i jednocześnie uczyły zawodu w wybranych specjalizacjach. Absolwent opuszczający taką szkołę będzie miał zawód w ręku i jeżeli zmieni plany życiowe lub nie dostanie się na studia będzie mógł od razu podjąć pracę zarobkową. Z kolei ci absolwenci 10-latki, którzy od razu zdecydują się pracować otrzymają do wyboru zestaw szkół zawodowych przygotowujących techników (nauka trwać będzie od pół roku do dwu i pół lat). Umiejętności fachowe można będzie również zdobyć na licznych kursach przysposabiających do zawodu.

Już w tych propozycjach widać ogromną elastyczność nowego systemu. Absolwent szkoły średniej po gruntownym, ogólnym przygotowaniu będzie mógł wybierać między różnymi typami szkół. Bez względu na to jaką szkołę ukończy, może kontynuować naukę w szkole wyższego typu (tak zwana drożność systemu). Każdy też uczeń, bez względu na to jak ułoży mu się potem życie, może posiadać zawód lub może go zdobyć w bardzo krótkim czasie.

Ogromnym zmianom ulegnie rekrutacja na studia wyższe. Projekt zakłada bowiem przyjmowanie absolwentów bezpośrednio po 10-letniej szkole średniej. Dotyczy to wyjątkowo uzdolnionych laureatów olimpiad przedmiotowych i konkursów centralnych. O indeks ubiegać się będą również absolwenci dwuletnich szkół specjalizacji kierunkowej i szkół zawodowych. Można będzie się również starać o przyjęcie po co najmniej dwóch latach pracy zawodowej lub nienagannej służby wojskowej.

Reforma studiów wyższych zaplanowana jest w następnym etapie. W tej chwili można tylko powiedzieć, że projekty reformy zakładają znaczną indywidualizację studiów, włączenie studentów do prac badawczych uczelni i takie posunięcia, które pozwolą samodzielnie studiować, a nie tylko zaliczać ćwiczenia i wykłady. W tej sytuacji zróżnicowany poziom przygotowania studentów I roku nie powinien stanowić przeszkody w opanowaniu programu studiów.

Unowocześnieniu ulegnie także szkolnictwo dla pracujących, tak, aby dorośli mogli w najdogodniejszy dla siebie sposób, nie przerywając pracy zawodowej, uzupełnić wykształcenie do poziomu szkoły średniej. Przewiduje się tutaj zwiększenie liczby kursów, szkół korespondencyjnych i egzaminów eksternistycznych.

Dlaczego wybrano taki, a nie inny model? Z pewnością każdy ze śledzących dyskusję o oświacie zadawał sobie takie pytanie. W tym miejscu dobrze będzie więc przypomnieć, jakie propozycje krytykowano w pozostałych wariantach raportu. Na przykład wariant I A proponował upowszechnienie średniego wykształcenia w ramach istniejącej w Polsce struktury szkolnictwa. „Udoskonalenie szkolnictwa – czytamy w raporcie – polegałoby nie na zmianach organizacyjnych, ale na doskonaleniu treści, metod i warunków materialnych nauczania, na rozbudowie systemu poradnictwa i orientacji, jak również na zmianach w obrębie innych elementów systemu szkolnego. Przeciwko temu wariantowi przemawiały m. in. zarówno za wysokie koszty kształcenia, jak i konieczność podejmowania zbyt wczesnej decyzji o kontynuowaniu dalszej nauki. Wariant ten nie zapewniał również równego startu młodzieży na wsi i w mieście.

W wariancie I B, który zakładał wprowadzenie 12-letniej powszechnej szkoły średniej budził zastrzeżenia zbyt długi okres nauki (12 lat) bez możliwości zdobycia zawodu i ujemne skutki wychowawcze ze względu na przedłużenie utrzymania ucznia na koszt rodziny lub państwa. Wreszcie w wariancie II A krytyce nie ostała się propozycja utworzenia roku przygotowawczego na studia. (Wariant zakładał 10-letnią szkołę średnią). Stały tu na przeszkodzie braki lokalowe, dostateczna ilość wykładowców i nauczycieli akademickich oraz względy natury wychowawczej. W wariancie II B protestowano przeciwko zbyt długiemu i kosztownemu cyklowi kształcenia (II-letnia powszechna szkoła średnia) podobnie jak w wariancie I B.

Przyjęty przez Sejm model wolny jest od tych wad. Jego widoczną, bodaj czy nie największą zaletę, stanowi umiejętność połączenia w harmonijny sposób interesów jednostki i społeczeństwa. Nowa szkoła oznacza równy start i równe szanse dla wszystkich uczniów bez względu na miejsce zamieszkania, (szkoły średnie na wsi powstaną w zakładanych obecnie szkołach gminnych) i taki system nauczania, który będzie odpowiadał zdolnościom i predyspozycjom ucznia. Nowa szkoła to także możliwość wyboru między różnymi typami szkół i szanse kontynuowania nauki, to również droga do szybszego awansu dla nauczycieli. Doświadczonych pedagogów szkół zawodowych będą potrzebowały szkoły średnie, a nauczycieli szkół średnich – szkoły specjalistyczne. Ważne są również zalety ekonomiczne modelu, gdyż przygotowanie zawodowe na podbudowie wykształcenia ogólnego jest znacznie tańsze i bardziej efektywne niż długoletnie kształcenie zawodowe. Ponadto zmiany w systemie kształcenia pozwolą przerzucić środki finansowe na rozbudowę szkół specjalistycznych i zbiorczych szkół gminnych.

Sejm pozostawił rządowi dwa lata na opracowanie ustawy o systemie edukacji narodowej. Będą to lata niesłychanie intensywnej pracy. Przygotowania wymaga nie tylko organizacyjno-prawna strona reformy lecz również programy i podręczniki. Ogrom zadań czeka niedawno powołane resortowe instytuty naukowe m. in. Instytut Programów Szkolnych, Badań Pedagogicznych i Kształcenia Zawodowego. Dokładnych opracowań i badań wymagają dla przykładu programy dwuletnich szkół specjalizacji kierunkowej, percepcja umysłowa uczniów, system przyjęć na studia czy nomenklatura i sieć szkolnictwa zawodowego.

Jednocześnie trzeba przygotować doskonałe zaplecze i stworzyć to, co przywykliśmy już nazywać jednolitym frontem wychowawczym. Szkoła nie jest bowiem oderwaną instytucją na bezludnej wyspie, lecz przeciwnie, jest instytucją niesłychanie mocno osadzoną w realiach społecznego życia. I same zmiany organizacyjne nie wystarczą, aby ją unowocześnić. Jest to jednak temat do osobnych rozważań. Na zakończenie przytoczę więc tylko tezę przewodniczącego Komitetu Ekspertów prof. dr Jana Szczepańskiego: „Podstawowym warunkiem reformy systemu szkolnego jest udoskonalenie kierowania politycznego szkół, udoskonalenie działania administracji państwa, a przede wszystkim rad narodowych, udoskonalenie metod finansowania systemu szkolnego, reforma prawodawstwa regulującego działalność szkoły. Bez zmian w tych zakresach doskonalenie systemu szkolnego jest iluzją".

MAŁGORZATA GOLICKA

NOTY i OPINIE

DO ROLNIKÓW skierowany został list Sekretariatu KC PZPR, Prezydium NK ZSL i Prezydium Rządu. W liście tym zwraca się uwagę na konieczność utrzymania przez wieś wysokiego tempa rozwoju rolnictwa i hodowli.

„Najważniejszym zadaniem — czytamy w liście — **w roku bieżącym jest uczynienie wszystkiego, co możliwe, dla utrzymania wysokiego tempa wzrostu produkcji zwierzęcej i roślinnej".**

W liście jako pierwsze zadanie stawia się potrzebę dalszego zwiększania produkcji pasz dla hodowli, wskazując, że w każdym gospodarstwie są takie możliwości, a jednocześnie zapewniając rolników, że państwo uczyni wszystko, co możliwe, aby rozwijać produkcję pasz treściwych.

Jako drugie zadanie list wysuwa problem pełnego wykorzystania wszystkiej ziemi uprawniej, zwracając jednocześnie uwagę rolnikom na fakt złej gospodarki rolnej.

„W roku 30-lecia Polski Ludowej — stwierdza list — **zwracamy się do was z gorącym apelem: uczyńcie wszystko, aby rolnictwo uzyskało dobre rezultaty, a wieś stawała się bardziej dostatnia i piękniejsza".**

▲ **JUBILEUSZOWY NUMER „PRZEGLĄDU HUMANISTYCZNEGO"** dzieli dwa okresy w historii tego pisma. Z dwumiesięcznika „Przegląd Humanistyczny" stał się miesięcznikiem, a jednocześnie redakcja rozumiejąc wielką rolę humanistyki w życiu współczesnym, a także jej związki z innymi dziedzinami nauki, postanowiła stworzyć możliwość wymiany poglądów uczonym z różnych działów nauki, sprzyjając tym procesom integracji w nauce.

▲ **PROJEKT PRAWA LOKALOWEGO** rząd zgłosił do Sejmu. Nad projektem tym pracowano od 1972 roku. Projekt oceniły już komisje sejmowe, pracują obecnie nad jego ostatecznym kształtem specjalnie powołane podkomisje. Sejm zajmie się tym projektem na przełomie kwietnia i maja. W wypadku nadania mu mocy obowiązującej wszedłby w życie w trzy miesiące później.

Prawo lokalowe w nowej wersji zmierza:

— do stopniowej realizacji prawa każdej rodziny do własnego mieszkania, co będzie coraz bardziej możliwe w miarę postępu budownictwa;

— do ograniczenia ingerencji administracji w stosunki między najemcą a wynajmującym, a więc administracją państwową i spółdzielczością; już obecnie umożliwia się nabywanie na własność mieszkań stanowiących własność państwową;

— do ustabilizowania sytuacji lokatorów, gwarantując im normalizację uprawnień do zajmowanych mieszkań, a także normalizację uprawnień zezwalających na swobodne dysponowanie mieszkaniami własnościowymi i spółdzielczymi;

— do wyzwalania społecznej inicjatywy w budownictwie, szczególnie indywidualnym oraz

— do wzrostu dbałości i społecznej kontroli nad stanem mieszkań.

▲ **BAŁTYK MORZEM POKOJU** — do pewnego czasu było to hasło, które obecnie stało się rzeczywistością. W Helsinkach siedem państw nadbałtyckich podpisało konwencję o ochronie Bałtyku. Są to: Finlandia, Dania, NRD, NRF, Polska, Szwecja i ZSRR. W ubiegłym roku państwa nadbałtyckie podpisały konwencję o rybołówstwie i ochronie zasobów żywych Bałtyku i Beltów.

Porozumienie państw nadbałtyckich w sprawie zachowania czystości morza są przykładem, jak mimo różnic ustrojowych można współpracować dla dobra wszystkich narodów tego rejonu Europy. Porozumienia te podpisały przecież państwa należące zarówno do Układu Warszawskiego, NATO, jak też do RWPG, EWG i neutralne. I choć są to porozumienia specjalistyczne, niejako regionalne, to stanowią też przykład dla innych państw i narodów. I w tym zawiera się polityczny sens tych porozumień.

▲ **DWORZEC CENTRALNY** w Warszawie zaczął przyjmować już pierwszych pasażerów. Do ich dyspozycji oddano poczekalnię, kasy biletowe, bar szybkiej obsługi, kwiaciarnię, kiosk Ruchu i podziemny peron. Na 7 kwietnia 1974 roku wyznaczono operację „Tory", po której na Dworzec Centralny kierowane będą pociągi przyjeżdżające ze wschodu i odjeżdżające na zachód. Po 7 kwietnia br. zacznie się też rozbieranie drewnianych pomieszczeń, pełniących do tej pory rolę dworca w centrum Warszawy.

▲ **MODA NA KONKURSY TRWA.** Do redakcji nadal napływają pisma informujące o coraz to nowych konkursach. I tak:

— Redakcje tygodników: **„NOWA WIEŚ", „TYDZIEŃ"** i **„PLON"** ogłosiły konkurs na reportaż i opowiadanie, prace graficzne, fotograficzne. Nazwa konkursu **„Pejzaże wiejskie".**

Współorganizatorami są: Urząd Wojewódzki w Poznaniu, Centralny Związek Kółek Rolniczych, ZSMW, Wydawnictwo Poznańskie.

Nagrody: za opowiadanie — 12 000 zł, 8 000 zł i trzy po 5 000 zł; za reportaż — analogicznie plus 5 wyróżnień po 2 000 zł; grafikę — 8 000 zł, 5 000 zł, trzy po 3 000 zł i pięć wyróżnień po 1 500 zł; fotoreportaż — analogicznie jak za grafikę.

Termin: do 30 maja 1974 roku. Adres: **Redakcja „Nowa Wieś", ul. Wiejska 17, 00-480 Warszawa** lub **Wydawnictwo Poznańskie, ul. Fredry 2, 61-701 Poznań.** Na kopercie dopisek: „Pejzaże wiejskie".

— **Zarząd Główny SZMW** oraz **Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza** i **„Tygodnik Kulturalny"** proszą o zgłaszanie kandydatów do **Nagrody Literackiej im. Stanisława Piętaka.** Nagrodę przyznaje się autorom, którzy nie ukończyli 35 lat życia, a w ostatnim roku przed przyznaniem nagrody opublikowali tom prozy, poezji, utwór dramatyczny o tematyce wiejskiej.

Termin: 30 marca 1974 roku.

— **Główna Kwatera ZHP, Zarząd Główny ZBoWiD** oraz **Kluby publicystyki oświatowo-wychowawczej i fotografii prasowej SDP** ogłaszają konkurs pod hasłem: **„Młodzi patrioci".** Obejmuje on publikacje w prasie, audycje radiowe i telewizyjne z okresu od września 1973 do 15 września 1974. Prace należy nadsyłać do 1 października 1974 roku na adres sekcji twórczych Zarządu Głównego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, ul. Foksal 3/5, 00-366 Warszawa. Pierwsza nagroda we wszystkich działach — 5 tys. zł.

— **„PIERWSZE DNI, PIERWSZE LATA"** — to konkurs ogłoszony jeszcze w ubiegłym roku przez Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi, WRZZ w Łodzi, Łódzki Oddział ZLP, Wydawnictwo Łódzkie i „Głos Robotniczy". Jest to konkurs na pamiętniki i wspomnienia łodzian, którzy **„niezależnie od obecnego miejsca zamieszkania — działali w pierwszych latach PRL na terenie Łodzi"** Do konkursu można zgłaszać prace niepublikowane i nie zgłoszone do innych konkursów. Ich objętość nie powinna przekraczać 35 stron maszynopisu.

Termin nadsyłania prac: 1 maja 1974 roku. Adres: Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi, Łódź, ul. Piotrkowska 104.

Termin ogłoszenia wyników: 21 lipiec 1974 roku.

Pierwsza nagroda: 10 tys. zł.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.
Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI.

PROMIENIOWANIE KOSMICZNE

Z doc. dr **ALOJZYM TOMASZEWSKIM,** kierownikiem Zakładu Fizyki Doświadczalnej Instytutu Fizyki Uniwersytetu Łódzkiego rozmawia Włodzimierz Stokowski

— Panie Docencie, o ile mi wiadomo, w Zakładzie Fizyki Doświadczalnej prowadzi się badania oddziaływań wysokich energii. Czy zechciałby Pan bliżej określić przedmiot tych badań?

— Najszerzej rzecz ujmując zajmujemy się fizyką jądrową. Jednakże jest ona dziś tak dalece rozległą dziedziną nauki, że kierunek naszych badań wymaga bardziej ścisłego sprecyzowania: badamy charakter sił jądrowych.

— Jak to rozumieć?

— Weźmy przykład. Strukturę wszystkich otaczających nas przedmiotów, a więc ich kształt, barwę, zapach itd. wyjaśniamy przy pomocy sił elektromagnetycznych. Albo, mówiąc jeszcze prościej, przy pomocy prawa Coulomba. Przy badaniu dużych brył, jakimi są planety, gwiazdy, galaktyki, opieramy się na prawie grawitacji, w uproszczeniu — na prawie Newtona. Natomiast w fizyce jądrowej staramy się znaleźć analogiczne prawo rządzące mikroświatem, to jest cząstkami elementarnymi.

— W jaki sposób można poznać właściwości sił jądrowych?

— Przez badanie wzajemnego oddziaływania nukleonów lub oddziaływania nukleonów z jądrami. Żeby jednak mogło nastąpić takie oddziaływanie, jeden z nukleonów musi posiadać pewną energię, to znaczy — zbliżać się do innego nukleonu. Badanie i poznawanie sił jądrowych powinno przebiegać przy różnych energiach nukleonów, lub innych cząstek, które na siebie wzajemnie oddziałują. Do nadawania wielkich energii naładowanym cząstkom służą specjalne urządzenia zwane akceleratorami. Buduje się już akceleratory zdolne do uzyskania energii, np. protonów, rzędu 500 miliardów elektronovoltów. Oznacza to, że taką energię uzyskałby proton, gdyby został przyśpieszony w polu elektrycznym o różnicy potencjałów równej 500 miliardów voltów. Dla porównania: w sieci miejskiej różnica potencjałów wynosi 220 voltów, w liniach przesyłowych — 220000 voltów. Nawet przy wyładowaniach atmosferycznych różnica ta dochodzi zaledwie do 100 milionów voltów.

— Czy jest to najwyższa energia uzyskiwana w warunkach laboratoryjnych?

— Nie. Istnieją akceleratory, które gromadzą dwie rozpędzone wiązki cząstek o energiach rzędu 30 miliardów elektronovoltów każda. Przy ich zderzeniu wyzwala się energia porównywalna z energią protonu większą od miliona miliardów elektronovoltów, czyli, jak to krótko określamy: 10^{12} elekronovoltów. Jedynka z dwunastoma zerami.

— W Łodzi nie ma przecież akceleratora tak dużej energii, a mimo to Zakład prowadzi badania sił jądrowych?

— Istnieje naturalne źródło, emitujące cząstki o bardzo dużych energiach, przewyższających 10^{20} elektronovoltów. Są nimi promienie kosmiczne. Cząstki te przychodzą do nas z naszej Galaktyki, jak również z innych galaktyk i następnie oddziaują z jądrami cząstek naszej atmosfery. Wielokrotne oddziaływania powodują, że do powierzchni Ziemi z jednej cząstki dochodzą już miliony cząstek, oczywiście o małych energiach w porównaniu z pierwotnymi. Taką grupę cząstek nazywamy wielkim pękiem. W Zakładzie Promieniowania Kosmicznego naszego Instytutu prowadzi się badania struktury wielkich pęków, a następnie, analizując je, próbuje się znaleźć obraz pierwszych, najbardziej energetycznych oddziaływań.

— Na czym polegają badania prowadzone w Zakładzie, którym Pan kieruje?

— Chcemy być bliżej pierwotnego oddziaływania. W związku z tym musieliśmy się przenieść z naszymi badaniami wyżej — wysoko w góry. Żeby badać większe energie, potrzeba większej aparatury i większych wysokości. Pragnąc uzyskać większe energie od uzyskiwanych w akceleratorach, należy prowadzić badania na wysokościach powyżej 3000 metrów, jakich w Polsce, niestety, nie mamy.

— A zatem gdzie prowadzi się te badania?

— Bardzo daleko. W górach Tien-Szań, koło Ałma-Aty, na wysokości 3400 metrów i w Pamirze na wysokości 4900 metrów, współpracując z ośrodkami naukowymi Związku Radzieckiego.

— Jaką aparaturę zainstalowano na tak znacznych wysokościach?

— W laboratorium tienszańskim zakończono montaż wstępnej aparatury. Jej zasadnicze elementy — to tzw. kalorymetr złożony z komór jonizacyjnych, które poprzez system elektroniczny pozwalają na ocenę energii oddziałującej na cząstki, komory iskrowe, rejestrujące ślady naładowanych cząstek oraz klisze jądrowe i rentgenowskie z których odczytujemy informacje o poszczególnych cząstkach wtórnych. Natomiast w Pamirze są ułożone tylko klisze rentgenowskie w specjalnych blokach, zawierających ołów i węgiel. Neutralne cząstki powstające przy oddziaływaniu, tzw. piony, rozpadając się tworzą kaskady złożone z tysięcy elektronów, które powodują lokalne zaciemnienia klisz rentgenowskich. Analiza kaskad pozwala na uzyskanie informacji o oddziaływaniu jądrowym. Aparatura ta jest prostsza, ale stwarza możliwość badań na dużych powierzchniach. Dodam jeszcze, iż obecna powierzchnia tej aparatury wynosi 450 m kw., a za dwa lata zostanie powiększona do 1000 m kw.

— Zakład współpracuje z naukowcami radzieckimi w obu stacjach naukowych?

Fot. W. Parys

— Tak. Bardzo ściśle. W myśl umowy podpisanej między Polską Akademią Nauk i Akademią Nauk ZSRR, Zakład Fizyki Doświadczalnej Uniwersytetu Łódzkiego bierze udział w obu eksperymentach. W tienszańskim eksperymencie uczestniczy Instytut Fizyki Akademii Nauk z Moskwy. Zgodnie ze wspomnianą umową, trzech pracowników naszego Zakładu stale przebywa w tamtejszym laboratorium, wykonując zadania przy budowie aparatury oraz opracowywaniu wstępnych wyników prowadzonych badań. W pracach naukowych w Pamirze bierze udział Uniwersytet Moskiewski, Instytut Fizyki Gruzińskiej A. N., Instytut Wysokich Energii Kazachskiej A. N., Instytut Fizyki Uzbeckiej A. N. i Instytut Techniczny z Republiki Tadżyckiej. A ze strony polskiej, poza naszym Zakładem, Instytut Fizyki Jądrowej w Krakowie.

— Jak jest zorganizowana współpraca tak dużego zespołu?

— Naświetlone klisze rentgenowskie zmienia się co roku. Po wywołaniu przydziela się je poszczególnym pracownikom. Ocena wyników, projektowanie nowej aparatury i sprawy organizacyjne omawia się dwa razy do roku na konferencjach roboczych, które odbywają się już poza laboratorium w Pamirze. Dotychczas odbyły się one w Moskwie, w Charkowie i Opatytach koło Murmańska. Tego roku odbędzie się ona w początku kwietnia w Łodzi i w Krakowie.

— Czy takie badania prowadzą jeszcze jakieś inne ośrodki naukowe?

— Właściwie można by wymienić tylko jedną grupę naukową prowadzącą podobne badania: brazylijsko-japońską, która pracuje w laboratorium na szczycie Chacaltay'a w Boliwii.

— Odnoszę wrażenie, że Zakład ma dość skromną aparaturę badawczą i chyba zbyt szczupłe pomieszczenie. Może się mylę, ale sądzę, że nie są to odpowiednie warunki do prowadzenia tak skomplikowanych prac naukowo-badawczych?

— Nie, nie myli się pan. Istotnie pomieszczenia Zakładu są zupełnie niewystarczające. Całe szczęście, że nie potrzebujemy skomplikowanej aparatury. I w tym widzę duży urok badań. Przy dużych i skomplikowanych aparaturach jesteśmy daleko od bezpośredniego spojrzenia na doświadczalne fakty. Z drugiej strony, przy interpretacji danych trzeba przyjmować szereg skomplikowanych założeń. Nawet w przypadku naszych badań sprawa nie wygląda tak prosto. Wystarczy, że powiem, iż do obliczeń wykorzystujemy 8 godzin w tygodniu maszynę cyfrową „Odra 1304", która przeprowadza około miliona operacji na sekundę Pomieszczenia Zakładu są rzeczywiście nieodpowiednie i zbyt szczupłe, co w znacznym stopniu utrudnia prowadzenie pomiarów naukowych.

— Czy to jest jedyna rola, jaką odgrywają maszny cyfrowe w procesie prac badawczych Zakładu?

— Na razie tak, ale w perspektywie — nie. Obecnie budujemy gmach Instytutu Fizyki UŁ. Będąc seniorem tej inwestycji zwracam szczególną uwagę na automatyzację przyszłych badań naukowych w Instytucie. W związku z tym projektuje się wprowadzenie w laboratorium Instytutu tzw. systemu CAMAC, który pozwoli na połączenie całej aparatury badawczej z maszyną cyfrową. Będzie ona jednocześnie: kontrolować sprawność działania całej aparatury badawczej, przyjmować od niej całą informację i przetwarzać na zaprogramowane dane. A więc pełna automatyzacja pomiarów badawczych. Będzie to unikalne urządzenie w skali kraju.

— Dziękuję za interesującą rozmowę i życzę Panu Docentowi pomyślnej realizacji zamierzeń naukowych.

JAN SZCZEPAŃSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

jako robotnik w fabrykach niemieckich, kiedy mimo jedenastogodzinnego dnia roboczego potrafiłem pracę przy tokarce połączyć z napisaniem książki o niemieckiej propagandzie wojennej. Profesorem zostałem właściwie przez pomyłkę. Chciałem bowiem zostać leśnikiem albo cyrkowcem.

— A więc, skoro już pan został profesorem, może zechce mi pan powiedzieć, jak by pan określił wartość socjologii w kulturze współczesnego człowieka?

— Socjologia jest jedną z nauk społecznych, która walczy z licznymi trudnościami metodologicznymi we własnym zakresie, ale od której ludzie spodziewają się bardzo wiele. Ogólnie mówiąc stwierdzam, że socjologia odegrała ważną rolę w kształtowaniu myślenia o procesach i zjawiskach społecznych w Polsce. Pokazała ona ważność spraw pozornie drobnych, przebiegów zachodzących między jednostkami i grupami, które sumując się i syntetyzując, składają się na zasadnicze przekształcenie naszego społeczeństwa. Pokazała także przyczyny przemian w makrostrukturach. Socjologia pokazuje także złożoność procesów i przestrzega przed niespodziewanymi i niepożądanymi skutkami procesów planowanych i pożądanych. Nauka ta wymaga krytycznej, dociekliwej, a czasami sceptycznej postawy wyjaśniania tez i dogmatów uświęconych tradycją, wyjaśnia mechanizmy zachodzenia procesów społecznych, i stąd nieraz więcej się zwraca uwagę na jej rolę krytyczną niż konstruktywną. Chciałbym jednak podkreślić, że zbudowanie wielkich organizacji społecznych, układów instytucji nowego ustroju wymaga również rzetelnych badań naukowych również krytycznej oceny założeń i warunków, jak zbudowanie każdego domu. Stąd ta krytyczna rola socjologii jest tylko koniecznym warunkiem jej rzetelności konstruktywnej.

— A jak pan sądzi, czy świat jest dzisiaj lepszy niż w czasach pana młodości?

— W czasach mojej młodości świat miał jeden wielki walor — po prostu ja byłem wtedy młody. A mówiąc poważnie — każda czynność człowieka ma dwa skutki: zamierzony i pożądany oraz niezamierzone i często sprzeczne z intencjami konsekwencje. Planowany rozwój techniki i gospodarki ma także te dwa aspekty. Raport U Thanta zwraca uwagę na te właśnie skutki. Likwidowanie chorób, nędzy, ucisku i zła gnębiącego ludzkość rodzi więc z konieczności inne cierpienia, stanowiące cenę postępu. Ale w sumie jednak musimy ustalić dość precyzyjne miary „ulepszania" świata. Są to miary zaspokojenia potrzeb coraz większej ilości ludzi.

— A co socjologowie mogą wnieść do tego procesu ulepszenia?

— Lepsze zrozumienie potrzeb człowieka, i to tych potrzeb, na które nie zwracają uwagi ekonomiści, planiści wzrostu gospodarczego i politycy, zapatrzeni w funkcjonowanie wielkich układów instytucji. A więc — potrzeby uznania, potrzeby odzewu, potrzeby zrozumienia. Słowem — zwracamy uwagę na istotne i podstawowe mechanizmy współżycia zbiorowego, które dają osobowości ludzkiej poczucie równowagi, zadowolenia i — żeby użyć wielkiego słowa — szczęścia. Pokazujemy więc doniosłość człowieka jako podstawowej i największej wartości w każdym systemie cywilizacyjnym.

— Czy mógłby pan postawić „horoskop socjologiczny" i powiedzieć, dokąd właściwie ten świat zmierza?

— Nie wierzę, że do katastrofy. Wierzę w wartość i sprawność rozumu ludzkiego, który zachowuje przewagę nad ludzkim szaleństwem. Każde z ogniw długiego łańcucha pokoleń rozwiązuje swoje problemy. Na nas spoczywa duża odpowiedzialność, gdyż rozpoczęliśmy procesy rozwoju planowanego, a nasze plany stwarzają warunki przesądzające niektóre sprawy na dziesiątki lat. Dlatego następne pokolenia będą miały do czynienia ze światem bardziej złożonym i skomplikowanym niż nasz świat współczesny. Ale będą też miały do dyspozycji daleko lepsze i sprawniejsze narzędzia pracy, udoskonalone metody badań naukowych, doskonalsze teorie i szerszą wiedzę o życiu społecznym.

— Panie profesorze, skoro rozpoczął pan swoją egzystencję za życia Franciszka Józefa, dysponuje pan wielkim doświadczeniem. Co pan sądzi o życiu, o karierze?
Jaka jest pana filozofia?

— Moja recepta na sukces w życiu jest bardzo prosta. Trzeba wiedzieć, czego się chce, a potem przez trzydzieści lat rygorystycznie trzymać się w ryzach. Trzeba dobrze manipulować tymi środkami, które się ma do dyspozycji, to znaczy zdrowiem, zdolnościami i dobrymi stosunkami z ludźmi. Nie trzeba niczego budować w pomniejszaniu innych ani na szkodzeniu komukolwiek. Trzeba pamiętać, że najpowszechniejszą wspólną cechą ludzką jest cierpienie. Bliźni jest istotą zasługującą przede wszystkim na współczucie. Uważam, że podstawową cechą umysłu uczonego jest ciekawość i bezwzględne dążenie do poznawania, jak się sprawy rzeczywiście mają. Do tego też zawsze staram się dążyć.

A teraz nieco oderwane pytanie. Urodził się pan na Śląsku. Ciekawa jestem, czy ciągle czuje się pan związany z tym regionem?

— Bardzo. Widziałem wiele krajów i krajobrazów, ale żaden nie może się porównać z pięknem Beskidów. Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś napiszę książkę o Beskidach pt. „Pochwała rodzinnego kraju". Ze Śląskiem łączę także nadzieje jako socjolog. Jest to region najbliższy wielkiego progu modernizacyjnego, jakim jest realizacja rewolucji naukowo-technicznej. Dlatego uważam, że to co się dzieje na Śląsku, spełnia pionierską rolę w życiu całej Polski. Jeżeli Śląsk chce w pełni wykorzystać tę szansę, musi również dać przykład nowoczesnej organizacji, czyli rozbić te kajdany, jakie na rozwój sił wytwórczych nakładają nieadekwatne formy organizacyjne.

— Chciałabym pana jeszcze zapytać, do jakich prac ze swojego dotychczasowego dorobku naukowego przykłada pan szczególną wagę?

— Sądzę, że rozpocząłem kilka kierunków badań i nastawiłem na nie większe grupy pracowników nauki: są to badania nad klasą robotniczą i inteligencją, badania nad funkcjonowaniem przemysłu w naszym społeczeństwie i badania nad szkolnictwem wyższym.

— A jakie są pańskie osobiste plany pracy naukowej w najbliższym czasie?

— Chciałbym podsumować badania prowadzone w naszym kraju nad inteligencją i klasą robotniczą i napisać na ten temat syntetyzującą książkę. Chciałbym napisać „Rozważania nad teorią społeczeństwa', w których zawarłbym to, czego się dowiedziałem od ludzi spotykanych w ciągu długiego życia.

— Powiedział pan, że podstawową cechą umysłu uczonego jest ciekawość i dążenie do poznawania, jak się te sprawy rzeczywiście mają. Może więc — na zakończenie — pytanie: Jak się te nasze ludzkie sprawy mają?

— Dość prosto. Wszyscy ludzie mają te same potrzeby podstawowe. Wszyscy szukają uznania, sympatii, miłości. Zakres sposobów, przy pomocy których do nich dążą, jest ograniczony i nie zmienia się od tysięcy lat. Jest np. rzeczą uderzającą, jak precyzyjnie opisali współczesne walki polityczne Tacyt i inni historycy rzymscy...

— I tu jesteśmy przy pańskiej teorii mianowicie teorii ciągłości życia społecznego. Dlatego może zechce pan mi jeszcze wytłumaczyć króciutko, jak to się dzieje, że mimo tak olbrzymiego postępu cywilizacji, zachowania ludzkie tak mało się zmieniają?

— Po prostu dlatego, że w ewolucji gatunku ludzkiego te ostatnie kilkaset lat postępu technicznego jest bardzo mało znaczącym epizodem. Jako autor podręcznika traktującego o historii myśli społecznej wiem, że od Herodota począwszy, a na współczesnych filozofach skończywszy, każdy filozof każdej epoki był przekonany, że żyje w wyjątkowym okresie historii, kiedy ludzkość znajduje się na zasadniczym zakręcie swoich dziejów. Otóż to spostrzeżenie daje mi podstawy do bardziej spokojnej i racjonalnej oceny skutków naszej cywilizacji technicznej. Zmienia ona bowiem niewiele w czterech podstawowych stosunkach, w których przebiega życie człowieka: w stosunku do przyrody, do społeczeństwa, do swojej własnej osobowości i do sił transcendentalnych, jeżeli człowiek w nie wierzy. Ale na ten temat trzeba by napisać duży traktat.

Rozmawiała:
JADWIGA RADOMIŃSKA

GEORGES SIMENON

WIĘZIENIE

9

Tłumaczył: R. WYSOCKI

Ojciec mruknął:

— Mnie zabrakło odwagi.

Czy to wszystko rozgrywało się w rzeczywistości? Czy nie były to jedynie teatralne dekoracje, na których tle trzej aktorzy grali wolniutko swoje role? Były chwile milczenia, często nieznośne. Chwilami Alain miał ochotę krzyczeć, gestykulować, robić wszystko jedno co, na przykład rzucić talerz o ziemię, żeby wszystko znowu wróciło do życia.

Nie mówili o tych samych kobietach. Fage został przy niemowlęciach, dziewczętach panienkach.

— Kiedy moje dzieci przyszły na świat, marzyłem, że któregoś dnia będą mi się zwierzać, że będę dla nich przyjacielem, być może, przydam im się na coś.

Zastanowił się, zwrócił się do Blancheta.

— Czy Adrianna dużo rozmawiała z panem?

— Nie, dużo nie. Nie odczuwała potrzeby wylewności.

— A wobec waszych przyjaciół?

Była dobrą gospodynią domu, nigdy nie wysuwając się na plan pierwszy. Zaledwie dostrzegano jej obecność.

— Widzi pan! Pozostała taka sama. Żyła życiem wewnętrznym, była niezdolna do komunikowania się z ludźmi. A Jacqueline, Alain?

Zawahał się, nie wiedząc, co odpowiedzieć Nie chciał sprawić przykrości temu człowiekowi, który z takim zażenowaniem przyjmował cios, który wymierzyło mu przeznaczenie.

— Kocur... W ten sposób ją nazywałem...

— Wiem.

— Kocur pragnął zachować swoją osobowość w pełni, dlatego też pracowała w dalszym ciągu. Do tych spraw ja nie byłem dopuszczony i nigdy nie prosiła mnie o pomoc, ani o radę. Część dnia należała wyłącznie do niej samej. Przez resztę czasu nie opuszczała mnie ani na minutę.

— To ciekawe, co pan mówi. Widzę ją, jak siedzi w fotelu mojego gabinetu i odrabia lekcje. Wchodziła tak cicho, że byłem zaskoczony, kiedy podnosiłem głowę i znajdowałem ją usadowioną naprzeciwko mnie.

— „Chcesz ze mną porozmawiać?"

— „Nie".

— „Jesteś pewna, że nie masz mi nic do powiedzenia?"

Potrząsała głową. Była zadowolona, że tu jest, nic więcej, a ja pracowałem dalej.

Kiedy postanowiła kontynuować studia dalej w Paryżu zamiast pozostać w Aix zrozumiałem, że nie chce być córką profesora".

Nieprawda! Kocur chciał żyć na własne konto.

— Oczywiście Adrianna poszła tą samą drogą, tak że zostaliśmy oboje z żoną sami, w chwili, kiedy liczyliśmy na to, że będziemy mieć więcej pociechy z dzieci.

Popatrzył na nich po kolei.

— To wy obaj mieliście z nich najwięcej.

Co podano na deser? Alain nie pamiętał. Znowu podnieśli się, przeszli do gabinetu za gospodarzem domu, który częstował ich hawańskimi cygarami.

— Kawy?

Alain nie śmiał spojrzeć na zegarek. Zegar w stylu empire stanął.

— Nigdy nie wtrącałem się do ich spraw. Nie nalegałem, żeby pisywały do mnie częściej i bardziej szczegółowo. Czy po wyjściu za mąż widywały się jeszcze?

Alain i Blanchet spoglądali na siebie pytająco. Blanchet rzekł:

— Jacqueline przychodziła czasami z mężem na kolację. Nie często.

— Przeciętnie dwa razy na rok — sprecyzował Alain.

Szwagier wziął to za wymówkę.

— Pan wie, że zawsze byliście mile widziani.

— Byliśmy zajęci, każdy przy swoim warsztacie.

— Telefonowały do siebie. Przypuszczam nawet, że spotykały się w mieście na herbatce.

Alain mógłby przysiąc, że nie zdarzyło się to nawet dwa razy w ciągu siedmiu lat...

— Spotykaliśmy się w teatrze, w restauracji.

Fage przyglądał się to jednemu, to drugiemu i wzrok nie zdradzał jego myśli.

— Spędzaliście weekendy na wsi, Alain?

— Czasami także część tygodnia.

— Jak się miewa Patrick?

— Wyrasta na dużego draba.

— Zna swojego kuzyna i kuzynkę?

— Widzieli się.

Fage nie pytał ile razy i tak było lepiej. On też musiał się czuć niezbyt dobrze w tym domu, który był jedynie dekoracją i w którym nie było nic z osobowości jego mieszkańców.

— Nie powiedziała dlaczego?

Wracano, bez przejść, do głównego tematu.

Alain dał znak głową, że nie.

— A wy nie wiecie, ani jeden, ani drugi?

Odpowiedziało, jeszcze bardziej ciężkie milczenie.

— Może Jacqueline zdecyduje się mówić?

— Wątpię — westchnął Alain.

— Jak myślicie, pozwolą mi widzieć się z nią?

— Jestem przekonany, że tak. Niech pan się zwróci do sędziego śledczego Beniteta. To zacny człowiek.

— A mnie powie?

Do tego stopnia w to wątpił, że uśmiechnął się smutno. Cerę miał bardzo bladą, usta ledwie zabarwione i mimo swego wzrostu wyglądał wątło.

— W gruncie rzeczy myślę, że ja ją rozumiem.

Znowu popatrzył na nich. Alainowi zdawało się, że więcej było sympatii w spojrzeniu, które rzucił na niego, niż w tym, którym zaszczycił Blancheta. Sympatii, ale również ciekawości, bądź też może pewnej nieufności?

Wreszcie westchnął:

— Może tak i lepiej...

Tylko jeden Blanchet palił cygaro, którego słodkawy odór czynił atmosferę ciężką. Alain był już przy czwartym, czy piątym papierosie. Fage nie palił. Wyciągnął z kieszeni pudełeczko, wyjął pigułkę którą włożył do ust.

— Każę panu przynieść szklankę wody?

— Nie warto. Jestem przyzwyczajony. To lekarstwo na pobudzenie krążenia. Nic poważnego.

Cóż jeszcze pozostało im do powiedzenia? Blanchet otworzył szafkę, która stanowiła skład likierów.

— Czy mógłbym panów poczęstować? Mam bardzo stary armaniak...

— Dziękuję.

— Dziękuję.

Rozczarowany, przypominał z tym swoim ogromnym, pulchnym ciałem, rozkapryszone dziecko.

Zwrócił się do Fage'a.

— Przepraszam, że nie zapytałem pana wcześniej. Czy nie czułby się pan lepiej tutaj, niż w hotelu? Mamy pokój gościnny.

— Dziękuję. Przyzwyczaiłem się do hotelu Lutetia od tylu lat! Zatrzymywałem się już tam, tak samo zresztą jak większość moich kolegów i moich profesorów, kiedy jako student przyjeżdżałem do Paryża. Dekoracje nieco spłowiały, tak jak ja...

Wstał, rozciągając swoje chude ciało, niby harmonię.

— Czas wracać do domu. Dziękuję wam obu.

Nie można było odgadnąć, o czym myśli. Zaledwie o cośkolwiek zapytał. Być może, nie było to tylko przez dyskrecję.

— Ja też wychodzę — oświadczył Alain.

— Nie zostaniesz jeszcze trochę?

Czy Blanchet ma ochotę z nim porozmawiać? Czy też obawia się tego, co mógłby on powiedzieć teściowi?

— Pora spać.

Albert podał im płaszcze.

— Jutro w salonie będzie wystawienie zwłok.

Drzwi były otwarte naoścież i salon wydawał się niezmierzony. Czy ojciec wyobraża sobie tę samą dekorację z czarnym obiciem, z trumną samotnie stojącą pośrodku, otoczoną świecami?

— Dziękuję, Rolandzie.

— Dobranoc, panie Fage.

Alain szedł za teściem po schodach. Kroki ich skrzypiały na żwirze alei, gdzie z drzew, czarnych jak smoła, padały krople.

— Do widzenia, Alain...

— Mam samochód. Mogę pana odwieźć.

— Dziękuję. Potrzeba mi spaceru. — Patrzył na opustoszałą ulicę jeszcze lśniącą, westchnął, jak by do samego siebie: — Potrzebna mi samotność.

Alainowi zrobiło się chłodno, pośpiesznie uścisnął kościstą rękę i skoczył do samochodu.

Nowy ciężar przytłaczał mu barki. Zdawało mu się, że przez chwilę dostał dobrą lekcję i czuł się, jak chłopaczek.

Jemu również potrzebna była samotność, ale nie miał na nią odwagi. Jechał, zastanawiając się, gdzie znaleźć ludzi, wszystko jedno jakich, takich, którym rzucić:

— Cześć, moje króliki!

Zrobią mu miejsce. Kelner pochyli się nisko.

— Podwójną, panie Alain?

Czuł wstyd. Było to silniejsze od niego.

ROZDZIAŁ V

Najpierw był dzwonek, bardzo długi i bardzo blisko zarazem, potem cisza, następnie znowu dzwonek, jak gdyby ktoś przesyłał sygnały. Któż mógł do niego przesyłać sygnały? Nie był zdolny do najmniejszego ruchu, gdyż znajdował się w przepaści. Musiał dostać potężny cios w głowę, gdyż była obolała.

Trwało to bardzo długo, aż w końcu zrozumiał, że znajduje się w swoim łóżku, następnie, że chwiejąc podnosi się na nogi.

Był zupełnie nago. Na drugiej poduszce widział rude włosy. Wiedział teraz, że to ktoś dzwoni do drzwi mieszkania i zaczął szukać szlafroka, znalazł go na podłodze, narzucił z trudem.

Przechodząc do studia, stwierdził, że nad Paryżem dzień jeszcze nie wstał na dobre. Tylko bardzo daleko, nad dachami, była żółta smuga. Dzwonek rozległ się na nowo, a kiedy otworzył drzwi, znalazł się twarzą w twarz z młodą nieznajomą kobietą.

— Słusznie powiedziała mi stróżka...

— Co pani powiedziała stróżka?

— Że pan na pewno nie od razu mi otworzy. Lepiej będzie dać mi klucz.

Nie rozumiał jeszcze. Głowę mu rozsadzało. Osłupiały, przyglądał się tej małej, pulchniutkiej osóbce, która wyglądała na bardzo rezolutną i z trudem powstrzymywała się od śmiechu.

— Pan to musiał położyć się spać niezbyt wcześnie! — zauważyła.

Zdjęła płaszcz z grubej niebieskiej wełny. Wahał się, czy spytać, kim ona jest.

— Stróżka nie mówiła panu o mnie?

Zdawało mu się, że od wieków nie widział stróżki.

— Jestem nową sprzątaczką. Nazywam się Mina.

Na stole położyła paczkę, zawiniętą w bibułkę.

— Zdaje mi się, że mam pana budzić o godzinie ósmej rano rogalikami i dużą porcją kawy. Gdzie jest kuchnia?

— Mamy tylko małą kuchenkę. Tędy.

— A odkurzacz?

— W szafce ściennej.

— Pan idzie z powrotem do łóżka?

— Tak. Przypuszczam.

— I mimo wszystko obudzić pana o godzinie ósmej?

—Nie wiem. Nie. Zawołam pania

Miała akcent brukselski i o mało nie zapytał, czy jest Flamandką. Ale na razie było to zbyt skomplikowane.

— Niech pani robi, co się pani podoba.

Wrócił do sypialni, zamknął drzwi, spojrzał, zmarszczywszy brwi, na rude włosy i odłożył ten problem na później.

Na gwałt potrzeba mu było dwóch aspiryn. Rozgryzł obie, gdyż jego lekarz powiedział, że śluzówki ustne wchłaniają lekarstwo znacznie szybciej, niż żołądek. Popił wodą z kranu.

Widząc wiszącą na drzwiach piżamę, zdjął szlafrok, żeby się w nią ubrać.

Nic absolutnie nie pamiętał, a zdarzyło mu się to dopiero dwa czy trzy razy w życiu. Wanna była napełniona wodą z mydlinami. Czy to on brał kąpiel? Czy ruda nieznajoma?

Kolację jadł u tego idioty Blancheta. Ponure! Straszne! Czy wyszedł stamtąd, trzasnąwszy drzwiami? Nie. W myślach zobaczył siebie stojącego na chodniku z Fage'm. Porządny facet!

Takiemu człowiekowi, jak Fage, chętnie powiedziałby co ma na sercu.

Tak, oczywiście. Ludzie wyobrażają sobie, że nic nie miał na sercu, bo wyglądał na cynika. Gdyby jednak Fage nie był jego teściem.

Widział go, jak w długim, szarym płaszczu znika w ciemnościach ulicy.

Pił. Niedaleko. W kafejce, której nie znał, w pierwszej, jaką napotkał. W zupełnie innej, niż te, do których uczęszczał. Stali goście. Z pewnością urzędnicy, którzy grali w karty. Obserwowano go. Było mu to obojętne. Musieli go poznać po fotografiach, które pojawiły się w gazetach.

— Podwójną!

— Co podwójną?

— Ach, pan nie wie?

Patronowi nie imponował.

— Jeżeli pan chce żebym wziął pierwszą lepszą butelkę...

— Whisky.

— Trzeba było od razu mówić, Perrier?

— Kto mówił o Perrier?

Był agresywny. Jak gdyby musiał wypuścić parę.

— Wody zwykłej.

— A pan widział w swoim życiu wodę zwykłą?

Tu nikomu nie imponował.

— Wody tej naturalnej!

Nie ograniczył się do jednego kieliszka. Wypił trzy czy cztery, a kiedy potem skierował się do wyjścia, wszyscy mu się przyglądali.

Dalszy ciąg nastąpi

WILCZE GNIAZDO

Dalszy ciąg ze str. 1

Od tej pory różnicowano kilka stopni alarmów — tzw. „cichą gotowość bojową", która miała być ogłaszana w wypadku pojawienia się w okolicy komandosów lub spadochroniarzy przeciwnika, bądź w wypadku detonacji min, czy wystrzałów; — „pełną gotowość bojową" oraz stan alarmu bojowego, gazowego i ogniowego. Obowiązkiem wszystkich oddziałów ochrony było „bronić głównej kwatery führera do ostatniego żołnierza".

Między jednostkami ochrony „Wolfschanze", a innymi stacjonującymi w pobliskich rejonach istniała ścisła łączność i współpraca. Tak np. polowa szkoła podoficerska w Orzyszu wraz z poligonem podlegała komendantowi kwatery głównej, jak również wszystkie działające na obszarze Giżycko — Kętrzyn jednostki Służby Pracy Rzeszy. Natomiast kwaterze Himmlera podlegał oddział zapasowy grenadierów pancernych SS i „Carlshof", batalion policji „Hochwald", oraz jednostki żandarmerii i policji z Giżycka i Kętrzyna. Łączność między kwaterami i siłami przeznaczonymi do ich obrony utrzymywana była przy pomocy dalekopisów, telefonów oraz łączników zmotoryzowanych.

W ten sposób komendant „Wolfschanze" pozostawał w stałej łączności z komendantem twierdzy w Giżycku oraz kwaterami polowymi „Hochwald", „Robinson" (kwatera Goeringa w Puszczy Rominckiej), „Mauerwald" (OKH), jak również z dowódcą 9 armii, której sztab stacjonował w Orzyszu. Poza tym nawiązano ścisłą współpracę w rozpoznaniu terenu między oficerem służby informacyjnej Wehrmachtu (Wehrmacht-Nachrichten-Offizier) w kwaterze głównej, a siecią placówek policji podlegającej Himmlerowi. Przy uwzględnieniu tych wszystkich możliwości komendant kwatery głównej führera wychodził z założenia, że siły przeznaczone do jej obrony będą w stanie powstrzymać napór wojsk przeciwnika przez 1–2 dni.

We wrześniu 1943 r. w Sperrkreis I — strefie „Wolfschanze", w której mieścił się bunkier Hitlera, utworzono tzw. Sperrkreis A. Obejmował on swym zasięgiem oprócz kwatery Hitlera, także bunkry i budynki: Keitla, osobistych adiutantów führera, kasyno i herbaciarnię, kancelarię NSDAP — Bormanna, adiutanturę Wehrmachtu, urząd personalny wojsk lądowych oraz barak, w którym odbywały się narady wojenne. Celem utworzenia tej nowej strefy było zwiększenie stopnia tajności wszystkich narad z udziałem Hitlera oraz stopnia bezpieczeństwa osób, które ją zamieszkiwały. W nowych warunkach do Sperrkreis A nie mieli prawa wstępu nawet kurierzy, którzy musieli swoją pocztę zostawiać w dawnej strefie.

Wprowadzono także nowe przepustki do tej strefy. Mogli je otrzymać w zasadzie tylko ci, którzy tam mieszkali lub stale służbowo przebywali. Osoby te posiadały stałe przepustki. Oprócz nich wprowadzono przepustki dzienne do jednorazowego wykorzystania, dla członków OKH, dla szefa sztabu przy szefostwie uzbrojenia wojsk, dla dowódcy armii rezerwowej, które to przepustki były wystawiane przez osobistego adiutanta Hitlera lub przez któregoś z jego adiutantów wojskowych. Novum stanowiło tu zarządzenie, że nikomu nawet członkom służby ochrony kwater w Sperrkreis A nie wolno wejść do strefy bez przepustki. Przy wszystkich bramach strefy A stały posterunki złożone z podoficera z Führer-Grenadier-Bataillons i członków RSD, których zadaniem było towarzyszenie osobom przekraczającym granice tego rejonu, a nie posiadającym wymaganej przepustki. Miało to jednak miejsce jedynie w wyjątkowych wypadkach, z zasady bowiem ściśle przestrzegano zarządzenia zabraniającego wpuszczania kogokolwiek bez odpowiednich dokumentów. Niezależnie od tego wewnątrz strefy chodziły wciąż patrole RSD, które kontrolowały poruszających się po jej terenie. Każdy kto nie posiadał przy sobie pozwolenia na poruszanie się w obrębie strefy był dokładnie legitymowany lub zatrzymywany do wyjaśnienia.

Ruch samochodowy w Sperrkreis A został ograniczony do niezbędnego minimum, natomiast parkowanie w nim samochodów — zabronione. Samochodem do strefy miały jedynie prawo wjechać „osobistości od ministra Rzeszy; reichsleitera i feldmarszałka, wzwyż", przy czym tak oni jak i ich obstawa musieli posiadać ważne przepustki. Wszyscy inni byli obowiązani zostawiać swoje wozy przed bramami strefy, wyłączeni z tego byli jedynie mieszkańcy „Sperrkreis A" w randze oficerów i kierowcy samochodów zaopatrzenia.

W zależności od tego do kogo osoba wchodząca do strefy się udawała, korzystała z określonej bramy. Jeżeli ktoś np. udawał się do siedziby Keitla, adiutantury Wehrmachtu bądź kontradmirała Vossa, generała Scherffa, czy centrali wywiadu kwatery głównej, to wchodził bramą III A (gdy jechał samochodem korzystał z bramy II A). Odwiedzający kancelarię partyjną Bormanna, kwaterę osobistych adiutantów Hitlera lub budynki gospodarcze, przechodzili przez bramę I A. Ktokolwiek był wzywany do kwatery Hitlera, na rozporządzenia oczekiwał w Sperrkeis I, zazwyczaj w kasynie nr 2, gdzie był traktowany jako „gość führera".

Mieszkańcy strefy wydzielonej A jadali obiady w kasynie nr 1, przy czym korzystano z dwóch jadalni. W jadalni I jadł führer oraz jego ścisłe otoczenie, razem 38 osób. Wśród nich: Keitel, Martin Bormann, szef prasowy Rzeszy dr Dietrich, ambasador Hewel (przedstawiciel Ribbentropa w kwaterze głównej), Jodl Schmundt, adiutanci Hitlera, lekarze przyboczni — profesorowie Brand, von Hasselbach i Morell, szef RSD SS — Brigadeführer Rattenhuber, a także pilot Hitlera Hans Baur, szofer SS — Sturmbannführer Kempka, fotograf Hoffmann i inni. Z kolei z jadani II korzystał personel pomocniczy strefy A jak ordynansi, maszynistki, stenografowie itd., łącznie 43 osoby.

W lipcu 1944 r. w obrębie Sperrkreis A utworzono specjalną strefę wydzieloną tzw. Sondersperrkreis, obejmującą swym zasięgiem „bunkier gościnny", w którym notabene mieszkał führer, bowiem jego własny bunkier od dłuższego czasu znajdował się w przebudowie, oraz barak „sytuacyjny". Rejon ten ogrodzono i wpuszczano do niego tylko osoby posiadające specjalne pozwolenie.

Nie jest prawdą jakoby Hitler na terenie kwatery głównej był stale otoczony swoimi „gorylami" jak to często opisywano. Tym niemniej wciąż był pod ich obserwacją także na terenie owej „specjalnej strefy", a w pobliżu jego osoby można było zawsze dostrzec jednego lub dwóch funkcjonariuszy RSD, czujnie zwracających uwagę na otoczenie. Jednostka RSD przeznaczona do osobistej ochrony führera składała się z dwóch grup liczących po 10 urzędników służby kryminalnej oraz członków SS — Leibstandarte „Adolf Hitler" z Führer-Begleit-Kommando. Wszyscy oni nosili mundury i byli często zmieniani, aby ich nie rozróżniano.

Zadaniem ich była służba wartownicza przy bramach Sperrkreis A i służba patrolowa na jego terenie, a od lipca 1944 roku także na terenie strefy specjalnej. Poza tym do ich obowiązków należała stała obserwacja osoby Hitlera, oraz schronów i budynków „Wolfschanze", w których führer przebywał lub z których korzystał. Był to — bunkier mieszkalny (dawny bunkier „gościnny"), herbaciarnia, oraz drewniany barak, w którym odbywały się popołudniowe narady sztabowe na temat sytuacji na frontach. Gdy Hitler przebywał w owym baraku, to w jego ganku cały czas znajdował się funkcjonariusz RSD, a przed barakiem w niewielkiej odległości od wejścia krążyły patrole ochrony. Hitler prawie nigdy nie spacerował sam po terenie swojej kwatery, najczęściej widywano go w towarzystwie przybocznych adiutantów SS — Obergruppenführera Schauba, Alberta Bormanna (NSKK — Gruppenführera — nie mylić z Martinem Bormannem, reichsleiterem i sekretarzem Hitlera), oraz któregoś z wojskowych adiutantów.

Przed zamachem z 20 lipca 1944 r. — tak osób uczestniczących w naradach jak i ich teczek w ogóle nie rewidowano. Później, już w ostatnich tygodniach pobytu Hitlera w bunkrze pod Kancelarią Rzeszy, takie rewizje stały się czymś normalnym. Każdy przekraczający próg bunkra zostawiał pas, kaburę z pistoletem oraz czapkę u wartownika. Ponieważ teoretycznie istniała możliwość przemycenia broni w kieszeni spodni, czasami przeprowadzano kontrolę osobistą, a osoba u której znaleziono broń była narażona na poważne nieprzyjemności.

Zdarzało się niekiedy, że führer osobiście odznaczał oficerów zasłużonych w walkach na froncie, a ci musieli się zameldować przed nim w paradnych mundurach i z bronią. Tak wówczas jak i podczas narad sztabowych w bezpośredniej bliskości Hitlera znajdowali się jego adiutanci z SS, SS — Sturmbannführer Otto Günsche i SS — Untersturmführer Junge, którzy zawsze mieli w kieszeni spodni odbezpieczone pistolety, aby błyskawicznie zareagować na każdy podejrzany ruch, którejś z osób zgromadzonych w sali bunkra. Czasami wyciągnięcie chusteczki do nosa już budziło podejrzenia i wzmagało czujność ochrony.

Jeszcze do dnia zamachu na Hitlera w lipcu 1944 r. do przepisowego umundurowania oficerów kwatery głównej führera należał pisolet, lecz zaraz po zamachu wydano im zakaz noszenia broni osobistej na terenie kwatery. Kiedy w grudniu 1943 r. płk. Ackermann z departamentu uzbrojenia OKW prezentował Hitlerowi nowe typy broni ręcznej, dokładnie sprawdzono przedtem czy ich magazynki nie są przypadkiem załadowane.

Widać więc z tego, że szanse zgładzenia Hitlera przy pomocy materiału wybuchowego były daleko większe niż przy pomocy broni krótkiej. Niemniej jednak, żadna z tych prób nie przyniosła oczekiwanego rezultatu, między innymi ze względu na zaprezentowane tu środki bezpieczeństwa jakie podejmowała jego osobista ochrona.

ANDRZEJ BLAJER

ODGŁOSY naszych marzeń

ANDRZEJ MAKOWIECKI prezentuje:

PRZESŁANIE

Aleksandra Rowińskiego uważam za jednego z najciekawszych pisarzy-reporterów współczesności. W swoim pisarstwie penetruje Rowiński rejony niejako ukryte przed okiem zwykłego człowieka. Jest to więc reporterka odkrywająca kulisy dnia codziennego.

Centrum, zatrzymam się tu na chwilę, przy jego kolorycie, który mijam codziennie, w pośpiechu. Przy paradoksach, bo bez nich nie ma kolorytu. Przy wielkomiejskim pejzażu, zbudowanym ze strzelistej, bijącej w niebo sylwetki mojego domu — szkło i aluminium — i przenośnego warsztatu szlifierza — pedałuje nogą, duże koło napędza mniejsze — stoi pod wieżowcem, w wielkomiejskości i noże ostrzy! Na dwudziestym drugim piętrze wieżowca subtelny literat uprawia swój proceder, długo w nocy słychać jego maszynę do pisania, tymczasem za prowizorycznym płotem w budującym się jeszcze centrum swój prostszy talent sprzedaje prostytutka.

W kolorycie centrum mieści się to, co widzę, i również to, czego nie wiem. Nie wiem, czy architekt projektant mojego domu sknocił go z niedołęstwa. Nie wiem, czy to los w swojej przekorze w ulicach o świętych imionach rewolucjonistów rozpanoszył ciemne i zakazane interesy. Dlatego z mojego domu — mimo tamtych nazw wchodzę zawsze w Chmielną i w Złotą, w Zgody.

Fale przechodniów płyną od biur i do biur, od sklepów i do sklepów, obojętnie opływają wózek inwalidy-króla, ciemny i brudny skup butelek na Złotej, interesy prywaciarzy na Chmielnej. Wychodzę z mojego domu, z tej sakramenckiej nowoczesności. Na dole scena, jak gdyby ktoś filmował początek gangsterskiego filmu: pod bank na Jasnej podjechał samochód pancerny, milicjanci stoją szpalerem, z bronią w pogotowiu, strażnicy obstawili wyloty wszystkich ulic. Nie padnie ani jeden strzał na niby, to nie kino — przywieźli prawdziwe pieniądze. Nie padnie również ostry strzał, nie ma już w Polsce takich gangsterów; ostatni, którzy obrobili transport pieniędzy przed bankiem na Jasnej, to byli dość prymitywni rabusie, tyle, że zdolni do mokrej roboty.

Pieniądze... mają chyba równie wspaniałą literaturę, co miłość, i równie bogatą, jak szczęście. Zatrudnionym na ulicy Armii Pracujących odmierza się je regularną miarką pensji, premii, prac zleconych, godzin nadliczbowych, dodatków rodzinnych. Wchodzę w zaułki centrum, gdzie pieniądz to inaczej szmalec i ciućki, pięćsetki nazywają się brudasy — a zdobywa się je sposobem, siłą i przez fart.

Zatrzymam się na chwilę. Chciałbym ją zachować jak na fotografii.

Na rozdrożu — Chmielna, Szpitalna, Zgoda, Bracka — placyk, za taflą szkła bar kawiarniany Szwajcarskiej. Rano załatwiają tutaj swoje interesy koniki walutowe, wieczorem przybywa towar świeży i naperfumowany — ich dziewczynki, wyspane za dnia, gotowe do nocnej służby: bawić się pić i kochać. Na narożniku bar Wygodny, przystanek trzeciej kategorii. Inwalida siedzi na wózku, koleś wyniósł mu z bufetu talerz gulaszu i setkę, nie z łaski, służy dawnemu królowi w fachu rozpruwania wagonów towarowych. Raz tylko król źle obliczył skok, ucięło mu obie nogi. Wózek też kiedyś miał lepszy, zmotoryzowany, ale go z wielkoduszym gestem przepił. Teraz ma wózek na ręczną korbkę, kumple się złożyli — składkowy.

Przed barem Wygodnym w największy, lipcowy skwar jego stała kompania płucze gardła czyściochą, pod piwko, w święta pod śledzika.

Może jutro, przy zmieniającej się modzie, kawiarnia Szwajcarska stanie się przystanią młodzieży akademii sztuk pięknych, może jutro spadnie z inwalidzkiego wózka zapijaczony król podziemia i rozwali sobie głowę o bruk, może bryndka powali wszystkich śmieciarzy, nocujących w piwnicach czynszówek — nie wiem, co będzie jutro. Kilkanaście lat temu w jednym z czterech ówczesnych kin Warszawy, w Atlanticu prowadził swoje wspaniałe, uniwersyteckie wykłady profesor Edward Lipiński — na sali miał tysiąc akademików. W kinie Atlantic grano już wówczas polski film walczący z wiejskim kułakiem, modelem prawdziwie dobrego obywatela był szlifierz Karhan, propagujący z ekranu współzawodnictwo pracy i surowy obyczaj życia. Ale i wykłady profesora ekonomisty o modelu nowej gospodarki, i wzory z kina — społeczników, tytanów pracy socjalistycznej, nie zasiewały się jakoś na ulicy Chmielnej. Zawsze była jednakowo zasobsorbowana własnymi sprawami, wówczas podobnie jak dzisiaj, kiedy dyskutuje się o prywacie i społecznikostwie, a młodzieży zarzuca kult rzeczy. Chmielna tradycyjnie przechowuje i pielęgnuje ten sam styl, te same ideały.

Na drugim końcu ulicy Chmielnej interes z butami prowadzą siostry Golc. Nie uczęszczały na wykłady profesora ekonomii do Atlanticu, chodzą za to dzisiaj, po zamknięciu sklepu, do tego eleganckiego kina na westerny. Nie poznały świętych formuł nauki o prawach rządzących produkcją i podziałem dobór, niemniej robią biznes prosty i złotodajny. Wiedzą, co komu i za ile. Każdego dnia tłum elegantek napiera na ladę ich firmy. W państwowych sklepach tuziny damskich szpilek — kto to kupi? Fabryki spóźniły się o całe trzy lata, na bieżąco są panie Golc. Włoskie kopyta, francuskie wzory, angielski fason, co tylko dyktuje aktualna moda — w miesiąc po eleganckich żurnalach. Kurierzy sióstr Golc sprowadzają wzory wprost z zagranicy. W pół roku później pozostali prywaciarze z ulicy Chmielnej wyjdą naprzeciw zapotrzebowaniu. W bramach za reklamowymi szafkami staną toporne naśladownictwa z „Burdy" i „Elle". Buty, koszule, kapelusze, galanteria. Ulica Chmielna — pomost między starymi, a nowymi laty. Tu się mówi: kto miał pieniądze, ma pieniądze i będzie miał pieniądze.

Na Chmielnej ostatnią, spóźnioną rzodkiewkę sprzedaje z kosza babina, pakując jarzynę w jakieś manuskrypty. Kupuję pęczek, aby poczytać coś ciekawego między rzodkiewkami.

„Kol. Niwiński nawiązując do przedmówcy mówi, że nie trzeba się przejmować, ponieważ sytuacja w organizacji jest zła, stawia jako zasadniczy punkt sprawę podniesienia dyscypliny.

Kol. Kossowski mówiąc o dyscyplinie zaznaczył, że chcąc podnieść dyscyplinę w organizacji, trzeba zastosować ją do siebie — zebranie musi być treściwe i konkretne.

Kol. Kielczyk proponuje w związku z tym rozwiązanie organizacji i zawiązanie jej na nowo z nowymi członkami".

Kupuję jeszcze pęczek rzodkiewek, gdyż akcja protokołu urywa się w interesującym miejscu, zupełnie jak dobra powieść w odcinkach. Po chwili kupuję jeszcze trzy pęczki.

— Babciu, skąd macie to opakowanie?

Przygląda mi się podejrzliwie.

— Co to pana obchodzi. To poufne.

Wchodzę w bramę Bracka 20, zostawiam za sobą gwar centrum milionowej stolicy. Kiedyś, gdy upoważniona komisja wybierała lokum na siedzibę Zrzeszenia Prawników Polskich, jeden z członków tego ciała przyjrzał się wystawionym tu witrynom prywaciarzy i zaprotestował.

— Do Zrzeszenia Prawników Polskich nie będzie się wchodziło między biustonoszami.

Życie i tym razem uładziło prawo — prawem biustonoszy jest reklamować firmę, a firma akurat zasadziła się w bramie Bracka 20.

Stara przedwojenna kamienica rozsiadła się pośrodku wielkomiejskości, celuje w centrum milionowego miasta. Przed jej bramą, na ulicy jakiś Leon — Leon mówi się ostatnio na jegomościów, na których niegdyś mawiało się facet. Leon bije w twarz kwiaciarkę, poprawia po karku.

— Bohater na kobiety! — krzyczy bita i zasłania się naręczem kwiatów.

— Ja ci dam bohatera!... Poprawić?

— Twojemu dziecku kiełbasę kupiłam!

— Swojemu lepiej kup!... Poprawić?!

— Moje dzieci suchy chleb lubiejom!

Przez centrum przepływa tłum, ściśnięty do wąskiej strugi w przejściu między wielkim magazynem towarowym, popularnym Cedetem, dalej dziecięcym domem towarowym, między sklepem z artykułami kolonialnymi — zwanym Delikatesami — i najruchliwszym w stolicy postojem taksówek. Wąska struga przechodniów dzieli się tutaj na strumienie, z których jeden przepływa przez bramę przedwojennej, czynszowej kamienicy; wiszą tu gabloty reklamowe szewców, posiadających inne kopyta niż państwowe fabryki, kupców podsuwających inne stroje niż państwowa konfekcja, futrzarzy zasobnych w efektowne czapy, i modystek.

Przechodnie oglądają witryny, patrzą na kwiaciarkę, rozcierającą napuchły nos, i Leona, w nerwach krążącego dookoła telefonicznej budki.

Fot. W. Parys

Jeszcze nie ochłonęli po jednej atrakcji, a już znad zaimprowizowanego straganu rozbrzmiewa śpiewna reklama.

— Ludzie, ludzie!... Co ja robię, ja zwariowałem... Ta wspaniała maść na odciski za dziesięć złotych!

Na straganie spoczywają w słoiku eksponaty o wielkiej sile wyrazu — ogromne odciski, które spadły z udręczonych nóg po użyciu maści.

— Pomiotło zawsze zostanie pomiotłem, prawda, chłopie — zaczepia mnie wesołym zdaniem, chociaż zupełnie nie a propos, Róża i puszcza wspaniałe perskie oko. Potem idzie wzdłuż chodnika, zatrzymuje się, rozkłada szeroko ręce, dzierżąc w każdej pęki kwiatów i zaczyna śpiewać. Roztkliwiona, rozbuchana.

— Przyszedł do niej oficer skrzydlaty...

— Zatańcz, Róża! — wołają do niej inne kwiaciarki, stojące z drugiej strony bramy i po przeciwnej stronie chodnika.

— Pokaż, co umiesz, no, Róża!

Róża z rozpostartymi rękami, trzymając kwiaty, zaczyna wirować i dygać. Uliczny kadryl tchnie zapachem bryndki. Siwy — mówią też pieszczotliwie na denaturat.

Śpiew Róży przechodzi w czkawkę, kończą się improwizowane pas, ona sama patrzy teraz dumna i piękna na przechodniów.

— Panienko, kwiaty — zachęca, podsuwając swój towar pod nos przechodzącej zakonnicy.

— Okładki na dowody osobiste! — akompaniuje jej niski brunet.

Ulica Bracka, najruchliwsza część centrum stolicy, po lewej szewc, po prawej modystka. Brama jak wejście do szaletu, ale w gablotach neony, środkiem chodnik wiedzie do redakcji „Prawa i Życia". W oknie mieszkania na parterze zawsze wystawiony jest święty obraz lub figura — często płoną w oknie świece. Na drodze do „Prawa i Życia" dewocja i biusthaltery.

Wychodzę przed bramę Bracka 20. Nie ma Róży, pewnie sprzedała już wszystkie kwiaty albo zmógł ją alkohol z fioletową naklejką na butelce. W pędzie wskakuje na podwórze wózek, popychany z furią przez dwóch mężczyzn. Na wózku najdorodniejsze jabłka polskich sadów i najsoczystsze czereśnie — takie jakimi nie owocują sklepy handlu uspołecznionego. Każda sztuka dorodna, każda oddzielnie wypucowana — tak jeszcze nie nauczyli się podawać towaru państwowi ekspedienci, inna rzecz, że ich uczono sprzedawać inaczej — a tu, żeby owoc błyszczał popluje się i potrze rękawem. Handlowcy sprzed bramy Bracka 20 porzucają wózek na tyłach domu, między ozdobnymi krzewami, uchodzą dalej tylko z wagą i ciężarkami. Na ulicy nie ma już kwiaciarek i pumeksu, okładek na dowody osobiste i maści na odciski. Zza budki telefonicznej Leon spokojnymi oczami wypatruje ruchów milicyjnego patrolu.

— Nie nakryją — powiada do tęgiej jegomości.

— Nie — przytakuje — nie widzieli.

— Tam w podwórzu jest piwnica, zejdzie kilka schodków niżej i już nie zobaczą.

Niby nic się nie zmieniło w ruchliwym kawałku centrum, tłum przepływa — tylko kilkanaście osób ogarniętych hazardem bierze udział w grze — złapią nie złapią. Mija długi kwadrans, z bramy Bracka 20 wychodzi kwiaciarka i prosto kieruje się do jejmości przy Leonie.

— Drogę im pokazałaś! — wrzeszczy ogarnięta wściekłością i żalem.

— Ja?... Marylka, co ty mówisz?

— Po cholerę tam wchodziłaś? Znaleźli mnie.

— Nie mów...

— Wezwanie mam.

— Na kolegium?

— Nie, do biskupa. Powiedzieli mi dobrze, że pani nie jest pijana.

Z bramy Bracka 20 wychodzą dwaj milicjanci, paski pod brodą i wolnym krokiem oddalają się w stronę Polskiego Biura Podróży Orbis. Tłum przepływa ruchliwy, niezmienny, gęsty przez osiem hadlowych godzin — od jedenastej do dziewiętnastej.

— Kapusie tu są! — krzyczy ogarnięta wściekłością i żalem kwiaciarka.

Wodzi oczami dookoła i powtarza:

— Kapusie tu są!

Leon obojętnie wysłuchuje jej złości i żalu, potem spokojnie dysponuje:

— No, wychodź! Ludzie na kwiatki czekają!

Zakwitają naręcza goździków, groszków — wesołe, pachnące kwiaty lata wychodzą ku przechodniom. Po kwiatach zajeżdżają z powrotem na ulicę czereśnie i jabłka, wracają okładki na dowody osobiste i pluszowe małpy na gumie. Wielkomiejskość zabarwia się rumieńcem folkloru z gminnych jarmarków. Już rozlega się przyśpiew: — Pumeks do rąk mycia, do nóg mycia, pumeks!

Z tego fotograficznego widzenia tłum wybiera postacie zadające szyku centrum — świecą w oczy standardem dyktowanym przez ceny z komisów, zajeżdżają najnowszymi oplami i fiatami oraz tych, którzy nie mają nic do stracenia — Leonów, stojaków spod budki z piwem oraz ich damy.

ALEKSANDER ROWIŃSKI

PODWÓJNI AGENCI

Przyznam się, że nie mam zbytniego zaufania do literatury poświęconej historii szpiegostwa, i to zarówno pamiętnikarskiej, jak naukowej; o sensacyjnych powieściach oczywiście nie mówię. Powód jest prosty: obowiązuje w niej pewien ustalony schemat, który podważa moje zaufanie do jej wiarygodności, schemat samochwalstwa. Jeżeli bowiem czytam o wywiadzie jakiegokolwiek kraju w czasach II Wojny Światowej, czy to będzie wywiad III Rzeszy, Wielkiej Brytanii czy któregokolwiek innego państwa, niemal zawsze dowiaduję się, że jego osiągnięcia były jednym wspaniałym pasmem sukcesów, że służby wywiadowcze dysponowały właściwie wszystkimi informacjami, które nieprzyjaciel ukrywał jako najściślej tajne i tak dalej.

Rzecz jednak w tym, że opowieści o wywiadowczych sukcesach jednej strony pozostają w rażącej nieraz sprzeczności z informacjami o analogicznych wyczynach drugiej, że wreszcie wcale często zdarzało się i zdarza, że wybitni politycy, pisząc pod koniec swej aktywności pamiętniki, powiadają niedwuznacznie nie tylko o sukcesach, ale i własnych klęskach wywiadowczych. Dlatego też ze znaczną rezerwą zabrałem się do lektury książki Johna Mastermana, znanego historyka brytyjskiego, niegdyś wiceprezesa Worcester College w Oksfordzie i rektora Uniwersytetu Oksfordzkiego, wydanej u nas przez Wydawnictwo MON pod tytułem „Brytyjski system podwójnych agentów 1939—1945". Jest to praca niemal naukowa, opracowana przez fachowego uczonego, jednocześnie jednak i relacja świadka, skoro J. Masterman pracował podczas II Wojny Światowej w brytyjskiej służbie bezpieczeństwa i był jednym z współtwórców owego systemu podwójnych agentów, polegającego na wychwytywaniu niemieckich szpiegów i przekształcaniu ich w pracowników brytyjskiego wywiadu. Książka, którą dziś każdy może znaleźć w księgarniach w Polsce, została napisana (i opublikowana po raz pierwszy) pod koniec 1945 r., bezpośrednio po zakończeniu działań wojennych i opuszczeniu przez autora służby wywiadowczej. Dopiero po upływie ćwierć wieku J. Masterman uzyskał zezwolenie na jej ogłoszenie. Zapewnia on swych czytelników, że obecny tekst różni się od pierwotnego jedynie poprawkami stylistycznymi i niewielkimi skrótami i musimy mu chyba wierzyć, jako że bardzo niewielu jest takich czytelników, którzy mogliby porównać obecną wersję pracy z owym super — tajnym pierwodrukiem.

Opowieść jest nadzwyczaj interesująca, skoro takimi były sprawy, o których przyszło opowiadać, zauważmy jednak, że J. Mastermanowi nie chodziło jedynie o efektowny opis nadzwyczajnych sytuacji i nieznanych zdarzeń, ale również coś więcej, mianowicie całościowe przedstawienie systemu podwójnych agentów, jego — jak powiada — „teorii i praktyki", która w świetle zaprezentowanego przezeń materiału w pełni zdała swój praktyczny egzamin w trudnych chwilach II Wojny Światowej. Okazuje się bowiem, że brytyjska służba wywiadowcza potrafiła doprowadzić do tego, że praktycznie wszyscy agenci wywiadu hitlerowskiego, działający na obszarze Wielkiej Brytanii byli podwójnymi agentami. Dzięki owemu systemowi można dziś z całą pewnością stwierdzić — zauważa J. Masterman — „że niemieccy szpiedzy w Anglii zyskali mniej niż nic". Jest w tym stwierdzeniu wiele uzasadnionej dumy odpowiedzialnego pracownika służby wywiadowczej; czy jednak skrupulatne porównanie informacji zawartych w jego książce z wiadomościami, rozrzuconymi po istniejących już dziś wcale licznych publikacjach poświęconych tym sprawom od strony niemieckiej, nie podważyłoby jej w jakimś stopniu? Mamy już dziś bowiem wcale wiele publikacji niemieckich, bądź opartych o dostępne dla historyków materiały niemieckiego wywiadu, które zaświadczają nie tylko o jego aktywności na wyspach brytyjskich, ale również o jakichś jego sukcesach? Czyżby więc i w książce J. Mastermana pobrzmiewały echa owego schematu samochwalstwa? Odpowiedzieć na to pytanie trudno, skoro się samemu nie badało tych spraw. Ale uważnemu czytelnikowi, który nie daje się uwieść sensacyjnej narracji książki, nasuwają się wątpliwości. Również i wówczas, kiedy czyta sądy o nowatorstwie brytyjskiego systemu podwójnych agentów, ściślej ostrożniejsze nieco sformułowanie o „pewnych cechach nowatorskich". Przywodzi bowiem na pamięć wielokrotnie opisywane dzieje japońskiej służby wywiadowczej, która już bardzo dawno, przed kilkudziesięcioma laty, wypracowała przeróżne, niewątpliwie „nowatorskie" formy działalności, niekiedy niemal bliźniaczo podobne do brytyjskich z czasów II Wojny Światowej. Z historycznego punktu widzenia, najmniej istotne jest, kto pierwszy wymyślił taki bądź inny sposób posługiwania się agentami, natomiast istotne, kto zdołał go w pełni wykorzystać i w jaki sposób.

I tutaj należałoby opowiedzieć choć jedną z pasjonujących historii opisanych przez J. Mastermana podwójnych agentów. Co najmniej dwóch z nich było Polakami. Pierwszy, używający kryptonimu Careless, był zestrzelonym w 1939 roku lotnikiem, który przez Francję i Hiszpanię dostał się do Wielkiej Brytanii, działał jako podwójny agent do stycznia 1943 r., kiedy to odmówił dalszej współpracy. Drugi był ważniejszą osobistością: Brutus, bo takim kryptonimem się posługiwał, był w latach 1940—1941 szefem tajnej organizacji we Francji, pochwycony przez Niemców został „pozyskany" dla hitlerowskiego wywiadu, „uciekł" z więzienia i dotarł do Wielkiej Brytanii z konkretnymi zadaniami wywiadowczymi. Natychmiast zgłosił się do brytyjskiej służby wywiadowczej. „Opowiedział nam prawdę wraz ze wszystkimi istotnymi szczegółami — pisze J. Masterman — i usilnie nalegał, abyśmy włączyli go do, jak to sam określił, „wielkiej gry". Ale o tej historii może innym razem.

LEKTOR

OJ, TA „BALLADYNA"...!

Dalszy ciąg ze str. 1

Tak! To nie kaskaderzy ani wytrawni motocyklowi akrobaci, ale Bożena Dykiel jako Goplana w nowej inscenizacji *Balladyny* w Teatrze Narodowym w Warszawie, oraz sekundujący jej Mieczysław Hryniewicz (Skierka) i Wiktor Zborowski (Chochlik). Wrażenie, jakie robi ich brawurowa jazda, ustąpić musi miejsca refleksji, jak do tego doszło, że w romantycznej tragedii zawarczały na scenie motory wysokiej klasy — dzieci nowoczesności zrodzone w trzeciej ćwierci XX wieku?

Nie sposób odpowiedzieć na to pytanie, nie wracając do całej serii widowisk na scenie Teatru Narodowego, autorstwa Adama Hanuszkiewicza, a opartych na tekstach polskich romantyków, serii, która w naszym życiu teatralnym zarysowała się budzącą namiętne spory i kontrowersje, ale znaczącą pręgą. Pręgą? A może wyłomem w tradycyjnej konwencji? *Nie-Boska*, *Kordian* (z drabiną i mikrofonem), *Norwid*, *Beniowski*, *Wacława dzieje*, a teraz *Balladyna* — to kolejne paciorki tego przewrotnego narodowego różańca.

Jeżeli spróbować ustalić wspólną formułę dla tych przedstawień, polegałaby ona na nowym odczytaniu szacownych dzieł wieszczów ze starannym wsłuchiwaniem się w tony, które zestroić się dadzą z życiem duchowym i doświadczeniem współczesnego Polaka. Na te tony ma Hanuszkiewicz ucho niezwykle wyczulone.

Od napisania *Balladyny* minęło lat 140, a od jej prapremiery lwowskiej — 112. Ten czas, dzielący nas od powstania tekstu dramatu i jego pierwszego przyobleczenia w kształt sceniczny, zaludnił się wielką rzeszą egzegetów, interpretatorów, biegłych w piśmie, i to zarówno tych wybitnych, formatu Hoesicka, Matuszewskiego (Ignacego!), Tretiaka, czy Kleinera, jak i pomniejszych, miernych, usiłujących przykroić dramat Słowackiego na miarę swoich umysłów. Ci ostatni, jak ów nauczyciel z *Ferdydurke* zwany Bladaczką *(Dlatego, panowie, że Słowacki wielkim poetą był!)*, odgrodzili nas od Balladyny murem banału, patetycznego frazesu i nudy. Piętno obowiązkowej lektury szkolnej zaciążyło nad tym utworem, wywołując wrażenie, że go się nie da lubić.

Hanuszkiewicz zaś powiedział sobie, że *Balladynę* da się polubić. Nie stawiał sobie za cel odwojowania terenu zdobytego przez lichych interpretatorów, oczyszczenia *Balladyny* z narośli i nawarstwień blisko półtorawiecznych. Tego zadania może się podjąć ambitny badacz literatury, nie artysta teatru. Komponując jednak widowisko teatralne na fundamencie tego tekstu dramatycznego, reżyser pragnął oswobodzić się od wszelkich pośredników, czerpać inspirację wprost ze źródła, z samodzielnego odczytania na nowo utworu, z „tragifarsowego — jak się wyrazi — migotania znaczeń."

Hanuszkiewicz nie boi się w swoich przedstawieniach anachronizmów, czego dał już liczne dowody. Zresztą sam Słowacki do tego zagrzewał, pisząc w dedykacji załączonej do *Balladyny:*

...niechaj tysiące anachronizmów przerazi śpiących w grobie historyków i kronikarzy...

Idzie o to, by anachronizm się w przedstawieniu tłumaczył.

Tu powróćmy do motocyklów marki Honda, których dosiąść kazał reżyser swojej Goplanie i jej przybocznym elfom — trabantom. Ta trójca stanowi w *Balladynie* świat nierealny fantasmagoryczny. Czy powołując go do życia scenicznego na użytek i uciechę współczesnego widza, miał Hanuszkiewicz odwołać się do baśniowych skojarzeń rodem z opowiadań fantastycznych E. T. A. Hoffmanna albo z ekspresjonistycznych wizji Maxa Reinhardta? Jako substytutu użył inscenizator współczesnej baśni, każąc Goplanie przybrać kuszącą postać komiksowej Barbarelli o bujnych kształtach sex-bomby.

Ale nowe odczytanie *Balladyny* i jego sceniczne skutki nie sprowadzają się do elfów ujeżdżających hondy, ani do bitwy Kirkora z Kostrynem rozegranej przy pomocy zdalnie kierowanych zabawek mechanicznych, błyskających w mroku i eksplodujących kapiszonami, poruszających się po scenie jak skupisko dużych robaczków świętojańskich. Hanuszkiewicz stara się od pierwszej sceny Pustelnika z Kirkorem wydobyć na plan pierwszy ironiczne akcenty dramatu, ów „ariostyczny uśmiech" i *urąganie z tłumu ludzkiego, z porządku i z ładu, jakim się wszystko dzieje na świecie, z nieprzewidzianych owoców, które wydają drzewa ręką ludzi szczepione.* (Słowacki)

Drwiąca postawa, jaką zachowuje autor wobec wydarzeń zachodzących w sztuce, dochodzi do głosu szczególnie w Epilogu, w którym występuje dziejopis Wawel. W osobie jego wykpiwa Słowacki uczoną historiozofię i zanurza ex post w satyrycznej kąpieli całą tragedię Balladyny.

Tę właśnie podszewkę szyderstwa podchwytuje Hanuszkiewicz i podbija nią całą, a przynajmniej prawie całą swą inscenizację. Drwina przejęta od Słowackiego, bezlitosna wobec celebry, patosu i zakłamania w odczytywaniu dziejów narodu, a przy tym oczyszczająca i uzdrawiająca, stanowi dla Hanuszkiewicza pomost wiodący wprost do Gombrowicza, Gałczyńskiego, Mrożka.

Pustelnik, czyli król Popiel III, szukający ukrytej korony Lecha w pościeli, inaczej mówiąc w betach, Kirkor miast w „karaceńskiej zbroi" z orlimi skrzydłami husarza — w białym smokingu i z pojedyńczymi piórami w wewnętrznej kieszeni, ich dialog rozgrywany w planie farsowym — to wszystko jakby elementy Teatrzyku „Zielona Gęś'. Tekst Słowackiego nie tknięty ręką reżysera (z wyjątkiem skrótów) w nowym kontekście nabiera nowych znaczeń, bawi szydząc i szydzi bawiąc.

Balladynę wystawiano dotąd na ponuro, rozjaśniając zaledwie jej mroczne losy intermediami buffo w wykonaniu Grabca i elfów. W tym przedstawieniu soczysty, ludowy „z chłopa król" w nieporównanym wykonaniu Wojciecha Siemiona nie jest wyłącznym nosicielem humoru. Ciężar ten podejmuje także Wdowa (kapitalna Bohdana Majda), Pustelnik (Janusz Kłosiński), Kirkor (Andrzej Kopiczyński) i Alina (Halina Rowicka). Ta ostatnia nie jest zgodnie z dotychczasowym stereotypem przesłodzonym niewiniątkiem, lecz sprytną dziewczyną umiejącą współzawodniczyć z siostrą o karierę i męża-hrabiego.

Rolę Balladyny powierzył reżyser młodej aktorce Annie Chodakowskiej (zwróciła na siebie uwagę jako Antygona w dyplomowym warsztacie PWST), polecając jej grać nie zwyczajowego demona zła, lecz zwykłą dziewczynę, sprowokowaną do pierwszego zabójstwa przez siostrę, a potem pchaną od zbrodni do zbrodni przez strach i złego doradcę Kostryna (Krzysztof Chamiec).

Klarowne w pomyśle widowisko nie jest bez grzechu. W drugiej części konsekwencja jego wydaje się zachwiana. *Balladynę* zagrać można jedynie zachowując równowagę dwóch tonacji: ironiczno-farsowej i tragicznej. O ile dotąd inscenizacje cierpiały na przerost tragizmu, o tyle widowisko w Teatrze Narodowym wydaje się nadmiernie przeciągnięte w drugą stronę, zdominowane przez szyderstwo. Samej Balladynie, granej na miarę codzienności, wydaje się brakować oddechu w bynajmniej nie farsowej scenie sądu.

Widz jest jednak zaraz potem wynagrodzony kapitalną wizualnie, analizowaną w niebieskiej poświacie, jakby filmową sekwencją śmierci bohaterki od pioruna. No, i bezbłędnie brzmią słowa Epilogu. Gdy Wawel (Aleksander Dzwonkowski) wypowiada kwestię:

Autor niniejszej sztuki słusznie wam opowie...

A nad scenę opuszcza się wielki konterfekt Słowackiego, na widowni zrywają się huczne oklaski. Nie są to tylko oklaski dla pomysłowego inscenizatora, ale i dla poznanego na nowo Słowackiego.

I tu dopatrzeć się należy wielkiej zasługi Hanuszkiewicza. Uczynił z Balladyny przedstawienie, które widza obchodzi. Legendy już krążą o tym, na ile czasu wykupiono awansem bilety na ten spektakl. Fakt, że teatr pęka w szwach i że wielki procent widowni stanowi młodzież, która przybywa tu z własnej chęci, a nie żeby zaliczyć pozycję z lektury szkolnej. Widowisko jest bowiem pyszne.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

BALLADYNA i KOSTRYN — A. Chodakowska i K. Chamiec

Fot. R. Dudley

GRABIEC — W. Siemion

Fot. R. Dudley

ogłoszenia drobne

RYSZARD BINKOWSKI prezentuje:

Edward Redliński, młody, utalentowany pisarz i reportażysta, autor tomu opowiadań „Listy z Rabarbaru", powieści „Awans" i „Konopielka" oraz tomu reportaży „Ja w nerwowej sprawie". Znając wieś z autopsji Redliński patrzy nań w sposób zobiektywizowany, a zarazem utrzymany w konwencji przygodowej. Fragment reportażu „Ogłoszenia drobne" pochodzi ze zbioru reportaży wiejskich „Twarzą w twarz", wydanego przez LSW.

Spojrzałem po pokoju; stała tu niska trzydrzwiowa szafa, stojak z doniczką bez kwiatu, jakieś obrazy w ramach wisiały na ścianie. Wkrótce przyszła, gasząc po drodze światło w tamtych izbach, dziewczyna. Ubrana weszła do łóżka i rozbierała się pod kołdrą. Potem złożyła swoje rzeczy (zauważyłem, że nie tylko spodnie i koszulę) na krześle obok i obróciła się twarzą w moją stronę.

— Nie ma dziś zabawy? — zapytałem, byle zacząć.

— W soboty zabaw u nas się nie robi. Jutro ma być, ale aż na Nalewkach.

— To co młodzi robią wieczorami?

— Podlotki zbierają się na ławkach. Śpiewają i podszczypują się — zaśmiała się.

— A pani?

— Idę spać. Czasem przenoszę tu radio i słucham muzyki.

— Wścieknie się pani kiedyś...

— Ee, jeszcze trzy tygodnie. W sierpniu pojadę na wycieczkę zagraniczną — pochwaliła się — Moskwa, Krym, Kijów.

Sięgnęła obnażoną ręką po spodnie, drugą, przytrzymując kołdrę na piersiach, wyłuskiwała niezręcznie papierosy. Ja odmówiłem. Paliła leżąc na wznak.

— Właściwie ojciec pani ma doskonałe wyjście — powiedziałem — wydać panią za mąż, a zięcia ściągnąć na gospodarstwo.

— O, to ja widzę jeszcze lepsze rozwiązanie — odpaliła. — Sprzedać gospodarstwo panu i wydać mnie za pana. Miałby ojciec i gospodarstwo, i pieniądze, i parobka.

— O, nie! — zaoponowałem. — Ożenię się z panią, ale gospodarstwo dostanę w posagu!

— Za wiele by pan zyskał — ciągnęła. — Żona piękna i robotna, i z dyplomem, do tego: Gospodarstwo rolne 9 ha z zabudowaniami, zelektryfikowane...

— A kto dawał ogłoszenie?

— Ja.

— Ojciec się zgodził?

— To już nie pierwsze...

Opowiedziała.

Ojciec liczył na młodszego; Heniek ukończył tylko podstawówkę, lubił gospodarstwo. Ale w wojsku poznał dziewczynę, ożenił się i został na Śląsku. Ma prawo jazdy, pracuje w jakimś zjednoczeniu jako kierowca przy dyrektorze, zarabia około trzech tysięcy miesięcznie. Ojcu napisał w liście, żeby sprzedał gospodarstwo i przyjeżdżał do Bytomia. Stary nie odpisał.

— W tym czasie byłam już na drugim roku — opowiadała.

— Ojciec nalegał, żebym rzuciła studia, przyjeżdżał nawet do dziekanatu, prosił, żeby mnie skreślili. Napisałam list do Heńka... Przyjechał, zrobił ojcu awanturę — że się wygłupia, że to samolubstwo rujnować przyszłość córki, że ojciec nie ma prawa gnić tu w pojedynkę w chacie, czyli obciążać dzieciom sumienie. A on, Heniek, ma już swoją rodzinę i nie ma prawa odbierać dzieciom szans zakopując się tu, w Kanicach. Ojcu proponuje zamieszkanie przy sobie i przy wnukach, uważa że takie rozwiązanie czyni zadość synowskim obowiązkom. I wyjechał.

Dziewczyna zapaliła drugiego papierosa i gestykulując w półmroku opowiadała z przejęciem.

— Ojciec był jak rozbity. Na domiar złego okaleczył się przy krajzedzie. Całą wiosnę i lato harował padając z wycieńczenia, ale po wykopkach napisał do syna, że zgoda. Heniek wziął urlop i przyjechał pomóc sprzedać gospodarstwo. Dał ogłoszenie do gazety. Zaraz przyszli sąsiedzi — chcieli okazyjnie, taniej, kupić inwentarz. Ojciec nie mógł się zdecydować, więc Heniek dyrygował; sprzedali konie, krowy. Świnie mieli wieźć na spęd. W niedzielę rano zjawiło się dwóch „kupców", reflektujących na całość. Z jednym dogadali się: dawał 180 tysięcy za ziemię i budynki. Zaczęli pić pod transakcję. Wtedy ojciec po cichu się wymknął — nie było go aż do wieczora w poniedziałek. Wrócił z odzyskanymi końmi i krowami. Pooddawał ludziom forsę z procentem nawet, bo nie chcieli zwracać zwierząt. Widząc to, kupiec machnął ręką i odjechał. Heniek też się wnerwił.

— A pani?

— Sama nie wiem. Rozpłakałam się. Myślałam już: rzucę studia, wezmę se jakiego krzepkiego chłopa i będziemy we troje gospodarzyć. Ale to tylko romantyczna mrzonka, jak się wyspać — mija. Żal mi ojca, ale i siebie szkoda.

— A teraz?

— Chyba już sprzeda. Jeździł trochę po świecie, był na dożynkach w Warszawie, siedział miesiąc u Heńka — bo pogodzili się. Zobaczył, że ludzie żyją nie tylko z roli...

— A pan? — spytała. — O co panu chodzi?

Przyznałem się ze skruchą, że jestem dziennikarzem, chcę napisać reportaż; oczywiście, zmienię nazwiska i nazwy miejscowości... Czy się nie gniewa za podstęp? Zaśmiała się.

— Od razu wiedziałam, że coś tu nie gra.

— Dlaczego?

— Po pierwsze, nawet gdyby urzędnik chciał zmienić swój zawód, na

ODGŁOSY naszych marzeń

LUCJUSZ WŁODKOWSKI prezentuje:

„...ZAWSZE BĘDZIE MIEJSCE..."

Stefan Bratkowski pisywał kiedyś znakomite reportaże, a następnie poświęcił się publicystyce. Tematem jego zainteresowań stała się nauka. Pisuje obecnie w „Życiu i nowoczesności" — czwartkowym dodatku do „Życia Warszawy", pisuje także w „Kulisach". Wydał również kilka książek — zbiorów reportaży i książek publicystycznych. A między innymi: „Gra o jutro" i „Księga wróżb prawdziwych".

Publikowany poniżej fragment pochodzi z „Księgi wróżb prawdziwych", która ukazała się jako wydanie drugie, poprawione i uzupełnione.

Pamiętać naturalnie wypada, że nauki fizykalne i techniczne rozwijają się obecnie zgoła inaczej niż na przykład za czasów Marii Skłodowskiej-Curie. Maria Curie całe lata spędziła z mężem w wyremontowanej przez siebie i przystosowanej do potrzeb laboratoryjnych szopie. Dziś laboratoria to niekiedy olbrzymy, zatrudniające i kilkaset osób. Davy i Faraday przesiadywali samotnie w cichych pokojach z kilkoma kolbami, drutami, woskiem i żwojem sznurów. Przesiadywali i dokonywali przewrotów w nauce. Dziś nawet najwybitniejsi korzystają z całych sztabów współpracowników, a wiele odkryć nie wiadomo właściwie z czyim skojarzyć nazwiskiem. Polietylen niskociśnieniowy — sztuczne tworzywo znajdujące bardzo wiele zastosowań w przemyśle — został odkryty na przykład w trzech różnych miejscach jednocześnie. Uwieńczyło to cykl badań prowadzonych przez różnych ludzi nad różnymi zagadnieniami. Trudno ocenić, czy przyznać pierwszeństwo Instytutowi Maksa Plancka w Mülheim, czy laboratorium Philips Petroleum Co, czy ludziom ze Standard Oil, zwłaszcza że w ostatnich dwóch przypadkach cały wyjściowy cykl zapoczątkowali i zrealizowali... Anglicy z laboratorium w Winnington. Dopiero w czasie wojny udostępnili oni Amerykanom szczegóły pierwszej fazy produkcji polietylenu. Wymagała go elektrotechnika wojenna, przede wszystkim urządzenia radarowe. Amerykanie tylko załatwili resztę.

Wynikałoby z tej historii, że najlepiej po prostu tworzyć wielkie zespoły uczonych, wielkie laboratoria, wielkie organizacje badawcze. Ale nie jest to wystarczająca recepta na odkrycia. Wielkie, rozbudowane ośrodki niosą ze sobą, niestety, te same schorzenia społeczne, co wszelkie instytucje o skomplikowanej budowie i skomplikowanym systemie zależności — cierpią na biurokratyzację i skostnienie. Już w tradycyjnych, małych zespołach sprawy władzy, podejmowania decyzji, rozdziału kompetencji administracyjnych stawały się źródłem wielu konfliktów. W dużych instytucjach, jeśli pojawiają się nowe talenty, nowi zdolni ludzie, nowe pomysły — ludzie na kierowniczych stanowiskach, których sławie zagraża dana nowość czy osoba nowatora, mogą skutecznie blokować postępy młodszych rywali. A tymczasem w naukach ścisłych maksymalną „wydajność umysłu" osiąga się znacznie wcześniej niźli w naukach humanistycznych.

Próby ominięcia oficjalnych barier i biurokracji podejmuje się wszędzie i w bardzo różny sposób. Oto w roku 1952 kilku kalifornijskich naukowców założyło bardzo dziwne towarzystwo o równie dziwnej nazwie: Amerykańskie Towarzystwo Rozmaitości czyli AMSOC (American Miscellaneous Society), w wolnym przekładzie zaś: Towarzystwo Zajmujące się Wszystkim i Niczym.

Nie miało ono ani statutu, ani sekretariatu, ani listy członków. Obradowało w trakcie śniadań z szampanem. Zupełnie nienaukowo i wbrew tradycjom zrutynizowanych, nadętych oficjalnych stowarzyszeń. Za to skutecznie. Kiedyś w La Jolla, w domu oceanografa Waltera Munka na jednym z przyjęć stwierdzono, że najwięcej nowych informacji o naszej planecie przyniosłoby wywiercenie w skorupie Ziemi otworu aż do tzw. nieciągłości Mohorovićicia (warstwa poniżej skorupy Ziemi; grubość skorupy sięga miejscami do 35 km).

W kilka dni później panowie Walter Munk, Harry Hess z uniwersytetu w Princeton i Roger Revelle, szef instytutu oceanograficznego, wzięli się za opracowanie jednego z najciekawszych programów badawczych w historii nauki — programu „Mohole" (od nazwiska Mohorovićicia i słowa hole — dziura).

Było to w marcu 1957 roku, a już we wrześniu na posiedzeniu Międzynarodowej Unii Geodezji i Geofizyki ogłoszono projekt „Mohole", uzyskując za jednym zamachem wciągnięcie „śniadaniowego" towarzystwa naukowego na listę oficjalnie uznanych stowarzyszeń. AMSOC miało odtąd prawo do pomocy finansowej Narodowej Fundacji Badań Naukowych.

Nie chcę sugerować, że najlepsze idee rodzą się akurat podczas takich spotkań, jak spotkania członków owego Towarzystwa Zajmującego się Wszystkim i Niczym. Wielu uczonych potrafi skutecznie pracować tylko w ciszy swych gabinetów, w zupełnym odosobnieniu, myśląc wyłącznie o temacie swych badań. Oderwanie takiego naukowca od jego warsztatu równa się jego klęsce; wszystko poza badaniami jest dlań idealnie obojętne.

Sławny Francuz Rémy Chauvin, autor „Życia i obyczajów owadów", nie żenował się przyznać, że kiedy udało mu się w 1940 roku uciec z niewoli niemieckiej i wrócić do Paryża, troszczył się wyłącznie o to, czy przetrwały jego szarańcze wędrowne: ginęła Francja, ginęła Europa, on zaś myślał jedynie o tym, że w pancerzach żyjących gromadnie szarańczy udało mu się przed paroma miesiącami wykryć dziwny brunatny barwnik, którego nie zawierały pancerze osobników żyjących samotnie!

Nie sposób więc ustalić jakichś wszechobowiązujących reguł. W dziejach słynnej polskiej szkoły matematycznej przetrwała pamięć o jednym z geniuszy matematyki XX wieku, Stefanie Banachu, który wraz z kolegami i uczniami urzędował najczęściej... w kawiarni „Szkockiej" we Lwowie gdzie przyszło na świat mnóstwo pasjonujących koncepcji, hipotez i dowodów. Wiele z nich przetrwało tylko dzięki temu, że pani Łucja Banachowa, żona naszego geniusza sprawiła dyskutantom gruby brulion do zapisków; przedtem notatki robiono czasem — z braku papieru — na blacie stolika a sprzątaczka po wyjściu gości skrzętnie je wycierała... Jak wspomina inny wybitny polski matematyk Hugo Steinhaus, Banach ze swymi kolegami: Mazurem, Orliczem i Ulamem, potrafiłby równie dobrze pracować w poczekalni kolejowej!

Nietrudno odgadnąć, że nauki teoretyczne wymagają innych warunków pracy niż nauki eksperymentalne i techniczne. Mimo to miejsca dla samotnych ciągle jest dosyć. Nauka i technika zarezerwowały dla nich swoiste nisze ochronne. Na mapie możliwych odkryć mnóstwo jest zakątków, które czekają nie na dywizje badaczy, lecz na inteligentnych, cierpliwych i pomysłowych samotników.

Pewien grecki inżynier elektryk w chwilach wolnych od zajęć pasjonował się fizyką jądrową. Kilkanaście lat temu przesłał on swoje obliczenia amerykańskim specjalistom: chodziło tam o nowy pomysł konstrukcji urządzeń, które przyśpieszą pęd cząstek mających wziąć udział w procesie łączenia się jąder wodorowych.

Amerykańscy specjaliści zlekceważyli propozycje fizyka-amatora: Co może być sensownego w dociekaniach człowieka z zacofanego kraju, pozbawionego wszelkich tradycji w fizyce jądrowej?

Tymczasem niewiele minęło czasu, a podobne idee zrodziły się w pracowniach zawodowych uczonych USA i Związku Radzieckiego. Przypomniano sobie wówczas nazwisko Christophilosa. Ów grecki inżynier zaproszony został do Kalifornii i podjął pracę nad reaktorem termojądrowym. Dziś jego nazwisko każdemu fizykowi kojarzy się z narodzinami „Astronu"; „Astron" to jedno z urządzeń, które być może otworzy nam drogę do praktycznej eksploatacji energii termojądrowej!

Foto. Archiwum

Nowe konstrukcje techniczne, wbrew pozorom, do dzisiejszego dnia wiele zawdzięczają „samotnikom". W każdym kraju, włącznie z Polską spotkać ich można dziesiątki; wyławianie takich talentów we Francji jeszcze z początkiem naszego wieku stało się przedmiotem specjalnego, bardzo oryginalnego konkursu. Otóż ówczesny prefekt Paryża, pan Ludwik Lepine, nie mogąc poradzić sobie z rozpanoszonych włóczęgostwem, doszedł do wniosku, że trzeba wszystkich mieszkańców miasta zarazić żyłką majsterkowania. Niechże paryżanie — rozumował — miast marnotrawić czas po knajpach, ciągnąć wino i plotkować, zaczną wysilać mózgi, aby zrobić coś pożytecznego dla innych i dla siebie. A może pociągnie to i włóczęgów?... Dla zachęty prefekt Lepine wymyślił doroczny konkurs połączony z wystawą. Udało się! Wprawdzie nie wszyscy lenie miasta Paryża wzięli się za majsterkowanie, ale konkurs Lepine'a przyniósł niejedną pomysłową rewelację konstrukcyjną. Pamiętajmy zaś, że dziełem amatorów-hobbystów były w XX wieku takie wynalazki, jak „stalowe płuca" czy też film kolorowy firmy „Kodak"; kupiła ona patent od dwóch... muzyków, którzy swój sposób wypraktykowali w domowej łazience. Citroen 2CV, najtańszy najbardziej poszukiwany i najpopularniejszy samochód francuski, został zaprojektowany — o czym mało kto wie — przez studentów!

Byli to, jak się nietrudno domyśleć, ludzie młodzi, ale twórczość zawsze jest sprawą ludzi młodych; twórcy sędziwi jedynie ciałem są starzy. Że młodość w nauce ciągle szokuje? To prawda, środowiska uniwersyteckie, w których przewagę mieli dotąd humaniści, nie bardzo potrafią to pojąć. Wydaje im się wprost żenujący młody wiek najwybitniejszych postaci we współczesnej fizyce czy technice inżynieryjnej.

Najwięksi fizycy XX wieku, Albert Einstein, Niels Bohr czy Paul Dirac, autorzy rewolucji w tej dziedzinie nauki, dokonali swych odkryć mając 26—27 lat, choć publikowane portrety Einsteina i Bohra przedstawiają sędziwych starców.

Łobaczewski stworzył nową geometrię przed ukończeniem lat 35, podobnie jak Mendelejew swój system okresowej klasyfikacji pierwiastków.

A kiedy w roku 1915 William Lawrence Bragg odbierał wraz z ojcem, Williamem Henry Braggiem, nagrodę Nobla za badania nad strukturą kryształów, miał lat 25! Przy czym odkrycia, które umieściło jego nazwisko w historii fizyki już bez towarzystwa ojca, dokonał dwa lata wcześniej!

Poszukuje się wszelkich form, które dadzą miejsce pożytecznej inicjatywie i talentom. W oficjalnych hierarchiach naukowych młody urzędnik Einstein jak nie miał nic do powiedzenia na początku XX wieku, tak zapewne nie miałby i dzisiaj. Także Niels Bohr. A cóż mówić o uczonych, którzy dokonali swych odkryć lub sformułowali nowe podstawy danej nauki będąc specjalistami zupełnie innych dziedzin? Dokonali ich, bo pracowali bez obciążenia szacunkiem dla uznanych dogmatów, bez rutyny, z zuchwałością ludzi młodych.

Issac Newton, zanim otrzymał stopień magistra nauk, miał już o wiele wcześniej gotową koncepcję przyszłych rewolucyjnych teorii naukowych.

John Dalton, twórca nowożytnej atomistyki, jeden z najwszechstronniejszych uczonych w historii nauki, był samoukiem.

Ludwik Pasteur nie był wcale medykiem, zajmował się początkowo krystalografią i odkrył znaczenie fermentacji w życiu drobnoustrojów, czemu zawdzięczamy sztukę pasteryzacji różnych płynów (to znaczy niszczenia zawartych w nich drobnoustrojów), między innymi mleka. Współczesna Pesteurowi medycyna, kiedy wkroczył w jej dziedziny z pomysłem szczepionek przeciw wściekliźnie, uważała go za hochsztaplera i szaleńca. Co by się działo, gdyby wyroki ówczesnych autorytetów były zdolne zahamować prace wielkiego uczonego?

STEFAN BRATKOWSKI

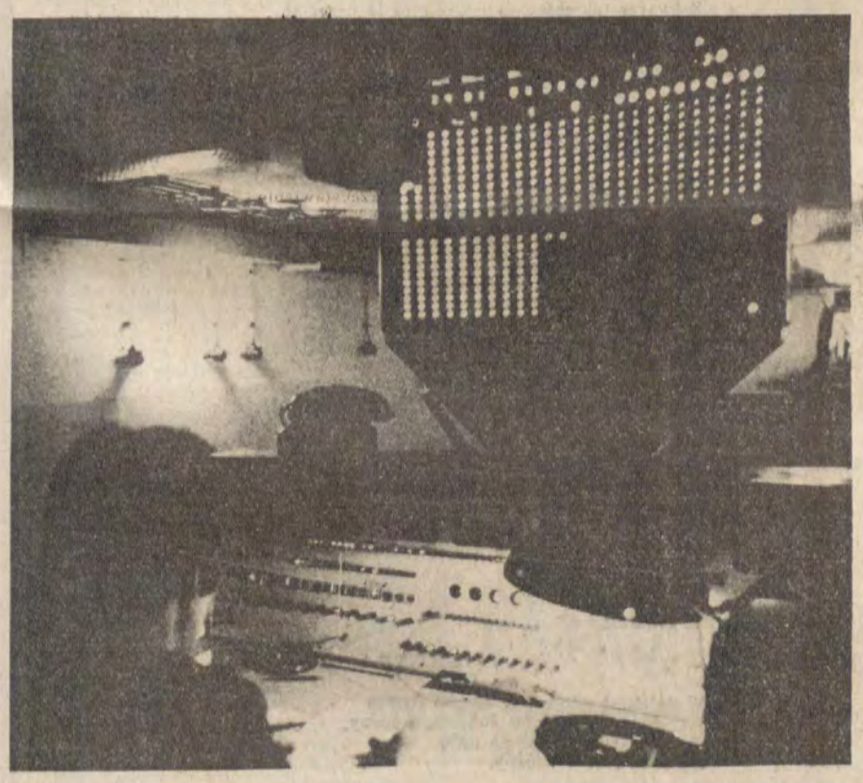

Foto. W. Parys

ogłoszenia drobne

inny, to dlaczego wybierałby ten najtrudniejszy, uciążliwy, niezbyt opłacalny? Ale załóżmy, że liczy pan na nowoczesność, specjalizację, na przykład: brojlery, warzywa... To czy wybrałby pan akurat Kanice za piaskami i błotami, kiedy są do kupienia gospodarstwa pod samym miastem, przy szosach i kolei? Dalej, powiedział pan, że pochodzi z miasta. A to już w ogóle...

— Znowu to samo — wtrąciłem żywo. — Czyż, do licha, trzeba aż jakiejś łaski uświęcającej, żeby ziemię uprawiać!

Musiał wzejść księżyc, bo mrok pokoju przecięły zielonkawe smugi prześlizgujące między ramami okna. Dziewczynę widziałem wyraźnie, leżała podłożywszy ręce pod głowę. Mówiliśmy półszeptem.

— A trzeba! Jakby to wytłumaczyć... Czy pan myśli, że starzy nie widzą, że ich dzieci dorabiają się w miastach prędzej niż na wsi? No to jak pan myśli, dlaczego mimo to starzy trzymają się ziemi? Bo oni nie patrzą na to, czy się opłaca, czy nie! Oni trzymają się ziemi, jak... Cygan włóczęgi — ucieszyła się z udanego porównania. — To cała metafizyka: pole, po którym się chodzi od dziecka, znajome kamienie, drzewa, ludzie, kościół — ta sama metafizyka, co w pojęciu „ojczyzna", tyle że w odniesieniu do kawałka swojej ziemi.

Słuchałem uważnie.

— A młodzi tej „metafizyki" nie wchłonęli — kontynuowała — wychowując się w różnych „przeciągach", rozgardiaszu miejsko-wiejskim, nie odczuwają niezastąpioności ziemi, jej siły, wartości. No to skąd ma się wziąć u nich tamten kult gospodarstwa? Dlaczego, gdy wybierają zawód, kierują się tylko dochodowością i „nowoczesnością" pracy. I rolnictwo przegrywa. Bo zawód rolnika w obecnych warunkach, na zapuszczonych gospodarstwach, w zapadłych okolicach, nie jest dla młodego atrakcyjny ani materialnie, ani prestiżowo. Tak było z Heńkiem.

Ta dziewczyna zreflektowała się:

— Zasunęłam wykład, nie?

— Całkiem do rzeczy — przyznałem.

Zaśmiała się:

— I musiałby pan ożenić się nie ze szczuplutką modną brygidką ale wziąć zdrową babę, co dałaby radę ładować snopy na ruszt, wory na furę, wytrzymała piętnaście godzin pod słońcem... Tak, panie redaktorze.

— W samej rzeczy, pani sędzio.

Tu dziewczyna kazała mi zamknąć oczy, i „pod harcerskim słowem honoru", nie otwierać. Wstała i zajrzała do tamtego pokoju, ukradkiem (Wiem jak, bo słowo złamałem).

— Tatko nie śpią — szepnęła wróciwszy — całe noc będą czuwać nad mojom cnotom... Jak byni to nie miała kiedy, gdybym chciała, obrócić jej w perzynę.

Zaśmialiśmy się solidarnie. Znamy się godzinę, stwierdziłem w duchu, a proszę, porozumienia ze mną więcej niż z ojcem.

— Ale niech pani nie mówi ojcu, że jestem redaktor — poprosiłem.

— Powiem, jak pan wyjedzie — obiecała.

Spałem długo i zdrowo, obudziłem się koło siódmej. Dziewczyna ugotowała już śniadanie i poszła na pastwisko, zmienić ojca przy krowach.

Stary przyszedł, nalał do misek kapuśniaku i zacierki, ukroił po pajdzie chleba i zaprosił do jedzenia. — O jedenastej będzie pierwszy autobus, powinni przyjechać kupcy — oznajmi' spoglądając na ścienny zegar.

Zapytałem, kogo się można spodziewać.

Wyjaśnił, że w innych rejonach województwa są okolice mocne rolniczo, ziemia tam jest droga. Za pięć hektarów bierze się tyle, że można tu kupić gospodarstwo dwa razy większe. Może kto spróbuje... Poza tym zdarza się, że ktoś namyśli się wrócić z Ziem Zachodnich. Bo co do miejscowych gospodarzy, to nie kupią. Raz, że nie opłaci się powiększać gospodarstwa powyżej 10 hektarów, dwa, że kto chciał ziemię kupić to dokupił w tamtych latach, trzy — po co ma kto kupować jak może brać za bezcen w dzierżawę. Są tacy, co oddadzą.

— A dlaczego nie chce pan przekazać ziemi państwu, za rentę? — zaciekawiłem się.

Odrzekł, że nie wie, ile pożyje. Może tylko dziesięć lat, może pięć albo i mniej. No to czy opłaca się? Odstąpić gospodarstwo Skarbowi Państwa za kilkanaście, a może i kilka tysięcy — nie, nie ma prawa, dzieci mogłyby go po śmierci przeklinać, że za byle co zaprzepaścił cały majątek.

— Gdybym wiedział, że pożyję ze trzydzieści lat... O, wtedy by się opłaciło — stwierdził.

O dziesiątej przyszedł sąsiad. Wyszliśmy do ogrodu i siedząc w cieniu jabłoni politykowaliśmy. Ulicą przemykały warcząc motocykle: wyelegantowane pary wracały z porannego nabożeństwa. W przeciwną stronę ciągnęły wozy z siedzącymi sztywno postaciami — to starsi jechali na sumę.

Koło jedenastej Kanicki poszedł na wzgórek za stodołę, popatrzeć, czy autobus przyjechał.

— Zdaje się, że przyjechał — rzekł wróciwszy. — Jakieś trzy osoby idą.

Wyszliśmy przed furtkę, starzy niecierpliwie wyglądali ku wchodzącym do wsi.

— Jacyś nieznajomi — rzekł Kanicki z nadzieją w głosie.

— Nie — skonstatował sąsiad. — To syny Matysa przyjechali.

Autobus wracał za godzinę. Podziękowałem za gościnę i nieśpiesznie ruszyłem w stronę szosy.

— Coś nie widać chętnych na twoją, Józef, gospodarkę — dosłyszałem jeszcze za plecami.

— Czemu, jednego kupca już miałem! — odpowiedział nie bez dumy Kanicki.

EDWARD REDLIŃSKI

ODGŁOSY naszych marzeń

ROMAN BRATNY

LOSY

JERZY WAWRZAK

prezentuje:

Przedstawiać czytelnikom Romana Bratnego jest niemal nietaktem, jako że autor „Kolumbów" znany jest powszechnie wszystkim pokoleniom Polaków, o których i dla których pisze. Czy tylko pisze? Słowem, które może najpełniej charakteryzuje twórczość Bratnego, będzie raczej: t o w a r z y s z y. Towarzyszy, jako jeden z nielicznych polskich pisarzy naszej rzeczywistości, przetwarza ją na gorąco, bez chłodnego dystansu, intelektualnej kalkulacji i historycznej soczewki. Często więc błądzi, nieraz irytuje uproszczeniami („zapisuje bruliony" — jak to uszczypliwie stwierdzają krytycy), wywołuje spory i wzbudza namiętności. Jest wszakże ponad wszystko o b e c n y. I godna to szacunku postawa, a życzliwość i popularność wśród czytelników w pełni zasłużona.

We wrześniu zaczęli próby. Zawerbowali się do Teatru Wybrzeża właściwie przez to, że tu zaangażowano Gwiazdkę. Uparty Kacper wydeptał miejsce dla siebie i Wysokiego. Teraz wyroki obsadowe dyrekcji rozdzieliły ich przy pracy. Wysoki, wraz z Gwiazdką, męczyli majestatycznego Szekspira, Kacper „z tą pana nowoczesnorozwichrzoną sylwetką jest jak stworzony do Pintera". I męczył miesiącami rolę „jak życie nudną" — tak recenzował swą pracę przyjaciołom. Później choroba reżysera zostawiła mu pusty, najgorszy miesiąc jesieni, potem asystował przy premierze przyjaciół, pełen ich tremy i własnej świadomej zazdrości. Znów pierwszy śnieg. Znów, bo przypomniał sobie ten pierwszy sprzed roku, gdy tak boleśnie zdał sobie sprawę, że jego nietrwała biel pokrywa rzecz na miarę tej ziemi jedynie trwałą: grób jego ojca. I chyba to był ten dzień, gdy przychodząc na próbę zastał zapłakaną starą sprzątaczkę nad gazetą. Zdziwiony pochylił się nad nią. Gwałtownie podniosła głowę i krzyknęła zaskoczona. Gazeta upadła na podłogę ze szpaltami otwartymi nad banalną drabinką jakichś cyfr czy cen...

Ciśnięta z rozmachem choinka buchnęła snopem iskier ku niebu. Ognisko buzowało szalone, teraz już znacznie szersze niż spopielała nieomal podstawa, jaką stanowił rozwalony i obrabowany kiosk. Jeszcze jedna choinka. Jakiś wyrostek biegnie z drzewkiem w ramionach w przeciwną stronę. Surowe uderzenie w zęby i „odzyskane" drzewko leci na płonący stos.

— Idą święta.

Wysoki ciągnie Kacpra za rękaw. Obaj są zmordowani tym krzykiem, który ich przyniósł na plac przed komitetem. Tym, co w nim znajome: „prasa kłamie!", i tym, co nowe, krótsze, najprawdziwsze: „chleba!". Tym, co widzieli, w czym udziału sobie zabraniali, obcy w tym robotniczym tłumie. — Pamiętasz nasze legitymacje i „prasa kłamie", tę głupotę prostaczą w 68? — przekrzykiwał tłum Kacper. Teraz zatrzymali się tutaj w drodze powrotnej do domu, gapiąc się na ten ogień, niby się przy nim grzejąc.

— Szkoda chłopaka! — nagle Kacper skomentował niedawną już chwilę, gdy to jakiemuś pętakowi wyrwano ukradzione drzewko. — Przysiągłbym, że to wnuczek naszej sprzątaczki. Jak w bajce, chciał zanieść babuni.

— Jakiej sprzątaczki, co ty brednisz?

I szli dalej oszołomieni tym, co oglądali, niepewni tego, co będzie jutro.

— Jutro próba.

— Jak dla kogo.

— Nie idziemy?

— Idę na prawdziwą...

Gdy Kacper wpadł do pokoju, jakby wraz z nim wdarł się przez otwarte drzwi głos tego miasta. Petardy. Śpiew. Szamotanie pojedynczych wystrzałów...

Wysoki podniósł się z fotela w kącie pokoju i bez słowa patrzył, jak Kacper wyszarpywał z szafy swoją walizkę. Nie mówił nic, gdy leciały na podłogę ubrania, bielizna, coś jeszcze, ale wstał, gdy jego przyjaciel wywlókł z dna znajomy chlebak.

— Co robisz? — powiedział Wysoki, ponieważ już zrozumiał. — Co robisz? Przecież strzelają w powietrze!

— W powietrze! — Kacper miał w ręku to nieszczęsne parabellum i teraz machał nim przed nosem Wysokiego, jakby chciał w przystępie szału wybić mu zęby żelazem.

— Taki! Taki! — krzyczy i pokazuje coś koło swoich kolan, potem podnosi dłoń z milczącą bronią na wysokość piersi.

— Nie był większy. Jak ten wczoraj wnuczek sprzątaczki z choinką. Podskakiwał przed pierwszym szeregiem idących. Coś tam wrzeszczał. Tak jak my „w garnku dziura, miły Romciu" albo „Jurek, ogórek, kiełbasa i sznurek". Tu! Tu! — uderzał lufą we własną skroń. — „Strzelają w powietrze", ty tchórzu! — wrzasnął w stronę Wysokiego i już go w pokoju nie było.

— Gaspar! — ryknął Wysoki i ujrzał tylko na sekundę na dolnym podeście schodów wykrzywioną wściekłością twarz.

Jest taki moment: w dole ulicy szpaler gęsty, milczący. Nie ma tam oczu, tylko rozmazana pod hełmami bladość. Tłum bezsilny, choć wściekły, miota kamieniami i wówczas zjawia się ten pierwszy wóz. Trąbiąc, ogromna ciężarówka, wyładowana cegłą, forsuje drogę przez tłum. Stojący na stopniu młody człowiek krzyczy, by się rozstąpić. W błysku zrozumienia tłum jak nawiedzony natchnieniem tworzy milczący szpaler. Samochód warknął i stoczył się po pochyłości na tamten ludzki mur w hełmach... Młody człowiek — ten ze stopnia — już zeskoczył, drugi otwiera drzwi szoferki. Ląduje na ulicy, pada, zawraca biegiem, chroniąc się w tłumie. Wóz łomocząc toczy się w dół. Już pryska tamten ludzki mur, gdy ciężarówka znosi na chodnik. Z rumorem chyli się latarnia. Cegły lądują na ulicy niczym ogromna, budowana w chaosie barykada.

Jest taki moment, że mur ludzi w hełmach topnieje, bo tłum napiera i ciska tym, co pod ręką. I jest taki moment, czy to jeszcze w tym samym miejscu? gdy nie tylko uderza salwa, ale ktoś pada obok Kacpra na bruk. Tak, to chyba to samo miejsce, bo skądże byłby gotów do akcji ciężarowy samochód i skąd ktoś, kto dźwiga rannego na platformę, i już Kacper stoi w szoferce, i własną koszulą, pokrwawioną przez rannego, wymachuje nad głową, gdy jadą w stronę szpaleru milicji, bo tam za nim jest szpital i pomoc. Macha tą koszulą, nagi do pasa, zapominając o parabelce sterczącej zza paska od spodni.

I jeszcze potem na podwórzu szpitala ten ranny w brzuch człowiek wciska mu wyładowaną tekę, która służyła mu jako zagłówek, i mówi mu jakiś adres i nazwisko, żeby to oddać...

Wysoki dowiaduje się, że Kacper jest wśród zatrzymanych, w chwili dziwnej. Jest u niego, nocuje na Kacprowym łóżku znajomy z boiska siatkówki. Sportowy dziennikarz. Wysoki patrzy na tego znajomego, cynicznego chłopaka, i słucha jego łez. Bo on chlipie, kiedy opowiada o tym, co było w Gdyni. Kiedy unosi do góry ramiona i mówi, jak idzie tłum niosąc zabitego. A potem skomli cichutko, gdy chce naśladować ogłupiały, niczym pijany, wycie syren parowozów, którymi ludzie zagłuszali megafony, przez które ostrzegano, żeby nie, że będą musieli...

I wtedy wchodzi do pokoju Gwiazdka, chuda, jakby ucharakteryzowana na sceniczne wielkie nieszczęście, ciężką biedę, i przynosi tę gazetę, gdzie jest „obraz wydarzeń", i pokazuje niecierpliwym palcem zdanie: „Milicja zatrzymała m. in. 21-letniego Kacpra J., który posiadał przy sobie pistolet"...

A z następnego roku tylko te dwa dni trzeba zapamiętać. Dzień pierwszy, gdy otwierają się przed nim ogromne, ciężkie drzwi i on staje na ulicy. Zdziwiony, że jest ona taka jak zwykle, nie taka, jaką pamiętał, w potokach ludzkiego tłumu, z jękiem pieśni i głuchym stękaniem petard i granatów. I przeżywa nieświadomie — w skrócie, w którym miesiące zastępują lata — powrót swego ojca. Zdziwienie światem, jego normą. I niedowierzanie, czy tak być powinno? Dzień przełażony bez sensu, jakby raz jeszcze zwiedzić chciał miejsce gniewu i tam dopiero nie tyle to wszystko, ile po prostu siebie zrozumieć, I ta chwila, gdy staje w Gdyni na kolejowym pomoście, tam gdzie było najgorzej, i widzi ludzi, idących z pracy, ten z chlebakiem, ten z teczką. I przypomina sobie tę noc, gdy puka do drzwi mieszkania w robotniczej dzielnicy i oddaje tę teczkę, bezcenną teczkę z chlebem, którą ten może umierający człowiek mu wręczył, szepcząc adres i błagając, żeby oddać. I ta mizerna kobieta odpina zamek i zagląda, jakby tam miała znaleźć posłanie zza grobu.

Teraz Kacper napotyka wzrokiem to miejsce. Oto w metalowej, tandetnej rurze, stanowiącej poręcz, jest szczerba, tuż obok druga, wydarta przez kulę dziura z bolesnymi zadziorami metalu. Młody Janas nie wie, co robi, gdy gołą ręką dotyka tej poręczy. Mróz parzy. Ma wrażenie, że gdyby dotknął wargami tego miejsca, zostawiłby na nim żywą skórę. I wtyka paluch w ranę tego żelaza mamrocząc coś do siebie. Gdy potem chce go wyjąć, nie może. I zdziera do żywego mięsa skórę. I sięga do kieszeni po chustkę, i trafia tam na cieplejsze, ogrzane ciałem żelazo tego idiotycznego parabellum. W aktach sprawy zostało zaświadczenie, odszukanego przez Wysokiego, teatralnego magazyniera, że Kacper miał przy sobie teatralny rekwizyt. I ekspertyza rusznikarza, że z broni tej nie strzelano „przez lat kilkanaście lub kilkadziesiąt".

I jest ten wieczór, kiedy Wysoki chce go witać, dzwonić do Gwiazdki, a Janas zacięty i głupi powtarza mu, że muszą zacząć to wszystko inaczej, bardziej serio.

— Ja nie chcę, Janas — mówi Wysoki.

— Ja muszę. Wstąpię do partii.

— To będziesz „sam z pierwszej dwójki" — krzywi się Wysoki i odwraca oczy.

— Nie. Ty rozumiesz to samo, tylko...

— Tylko co?

— Nie chcesz... no, walczyć... — wymawia to słowo z oporami.

— Wiesz, jak ci pomogłem? Rąbnąłem z rekwizytorni to rozbrojone z iglicy i bebechów parabellum, którym ktoś wymachiwał w bohaterskiej powieściowej adaptacji, i utopiłem je w szambie...

— Nie łżyj z tym szambem.

— To wyrzuciłem na śmietnik. Z tego wyszło, że ty ganiałeś z tym rekwizytem.

— Wiem przecież.

— Przestań więc pieprzyć o „walce". To słowo jest z rekwizytorni.

— Nieprawda — powiedział cicho Janas. — A o której będzie magazynier, żebym zdał to żelazo?..

I jeszcze jeden dzień nam został do zapamiętania. Dzień lata. Sierpniowy dzień. Dzień śmierci starego, który to dzień jego syn pamięta. I jest, jak było rok temu. Są ludzie grający w siatkówkę. Gęsty tłum na plaży. W tym roku to jest niedziela. Kacper płynie sam wioślarską łodzią, zdziwiona Gwiazdka wygraża mu żartem piąstką z piasków plaży. Jest coraz mniejsza. Wreszcie jest taka jak inni, jest po prostu w nich, w tym tłumie łebków i ciał.

Już daleko od brzegu Kacper odkłada wiosła i sięga do schowka w koi. Wyjmuje chlebak. Ten, w którym trzymał „rzeczy po ojcu". Otwiera zawleczkę i wypada na dno łodzi archaiczny, dorożkarski numer. Kacper leży długo na dnie łodzi, trzymając na piersi tę ciężką blachę, jakby chciał, by słońce wyznaczyło mu to miejsce na skórze...

Nagle podnosi głowę. Zdaje mu się, że usłyszał jakiś głos czy szelest. Natęża słuch. To tylko fala, poruszona pierwszym podmuchem wiatru, plusnęła o burtę.

ODGŁOSY naszych marzeń

JERZY WILMAŃSKI prezentuje:

Ta prezentacja kolumny poetyckiej „Odgłosów" jest w gruncie rzeczy wypadkową literackich upodobań całego zespołu. Oczywiście lista nazwisk jest daleko dłuższa, mogliśmy jednak zaprezentować tylko skromny wybór. Wydaje mi się, że ta piątka poetów reprezentuje swoją twórczością to wszystko, co najcenniejsze i najistotniejsze we współczesnej poezji polskiej. A zatem jej pasje społeczne i refleksje nad ludzką egzystencją, jej fascynacje człowiekiem i światem, w którym żyjemy.

Ernest Bryll

SONET ARCHEOLOGICZNY

Poezja ponad ufność delikatną albo
nad porcelanę... Po cóż armat huku —
starczy, by ideały dosięgnęły bruku
gruchnąć w te cacka staroświecką palbą.

Tak się zagubią, że nawet okruchu
nie stanie — aby zranił jęzory, gdy liżą
stopy tych, co zmartwiałym już oddani spiżom
— chociaż potrafią czynić pozór ruchu.

A jednak potem przyjdzie drążyć w ziemi
cedzić grunt cal po calu — dla jednego błysku...

Z niego na przekór całemu śmietnisku
pochwał lepionych palcami drżącymi
dojdziesz, na jakim wnoszono półmisku
głowy. I jakie tańce czyniono nad nimi.

„Dziennik Ludowy", 1964, Twarz nie odsłonięta, 1963

Stanisław Grochowiak

KANON

Oddechem poezji jest śnieg albo sadza
Kiedy śnieg jest oddechem — krzewy stoją czarne
A jeśli sadza — to oprósza dłonie
Zakochanych lub katów
Zarówno pobladłe

Głową poezji — krzak płonący w nocy
Przy nim jednorożce łby mają wysmukłe
Kruki — dzioby okute w pochewki ze złota
Rysują się słoje

Ojcem poezji — jej bogiem — jej drwalem
Ten chory człowiek z drżącym kręgosłupem
Z twarzą tak sztywną jakby bicz ją przeciął
Lub cień
Mknącego na obłokach diabła

„Nowa Kultura", 1963, Kanon, 1965

Jerzy Harasymowicz

SAD, STYCZEŃ

Oto zimą jabłonie,
oto gil w pąsie tonie.
Gil ma jak pestka serduszko.
Gil — zimowe jabłuszko.

Na korę jabłonek głupiutkie zajączki
Sieczkami nakładają ślubne obrączki.
Jest nieruchomo i cicho dokoła,
czasem tylko gawron jak marszałek coś zawoła.

A w nocy znów błękitne pokłony
Sad bije pełen lęku
nocy zimowej, wielkiej, białej sowie,
co siada na księżyca sęku.

„Cuda", 1956

Tadeusz Nowak

SIOSTRA

W dalekiej wiosce, w siwym dymie
jest dom, a przy nim świecznik sosny.
Tobie jest biała noc na imię
i gorzka zieleń wiosny.

Biedna siostrzyczko, cichną drzewa
i śnieg podchodzi za kolana.
Tobie kukułka ciągle śpiewa
sen cienistego siana.

Z ogromnej ciszy, z takiej zorzy,
której mi nikt już nie podpowie,
idę, a ty mi drzwi otworzysz
i będę głaskał cię po głowie,

aż się pod ręką uspokoi
twój płacz i biedna twoja głowa
i wyjdzie chłopiec z ciemnych choin
twoje kolana ucałować.

A chłopca nie ma, ciemna rzeka
płynie i piach spod stóp ucieka.

„Prorocy już odchodzą", 1956

Wisława Szymborska

WYJŚCIE Z KINA

Migotały sny na białym płótnie.
Dwie godziny księżycowej łuski.
Była miłość na tęskną melodię,
był szczęśliwy powrót z wędrówki.

Świat po bajce jest siny i mgła.
Nie uczone tu twarze i role.
Partyznackie żale śpiewa żołnierz
i dziewczyna żale swoje gra.

Wracam do was, w prawdziwy świat,
losu pełny, tłumny i ciemny —
jednoręki chłopcze pod bramą
i dziewczyno o oczach daremnych.

Wiersze wybrane, 1964

NASZ KOMENTARZ

Przed tygodniem pisaliśmy o tak znacznym pogorszeniu stosunków między Stanami Zjednoczonymi a zachodnią Europą, że powątpiewaliśmy, czy dojdzie do skutku wizyta R. Nixona w Brukseli, planowana na kwiecień w związku z 25-leciem NATO. Teraz wiemy już na pewno: **podróż została odwołana.** Zakomunikował to sam Nixon, przemawiając w Chicago. Nie krył przy tym powodów swej decyzji, po prostu trwa różnica zdań między USA a ich zachodnioeuropejskimi sojusznikami. Pod adresem tych ostatnich wypowiedział wiele gorzkich słów. Zagroził także, że **wycofa amerykańskie wojska z Europy,** jeśli partnerzy będą konsekwentni w odmawianiu współpracy oraz wrodzy wobec inicjatyw amerykańskich. Te pogróżki odbiły się szerokim i oczywiście nieprzyjemnym dla Stanów Zjednoczonych echem w stolicach zachodnich. Wprawdzie w dwa dni później nastąpiło pewne wyciszenie burzy — nie zmienia to jednak faktu, że **wzajemne stosunki są złe.** Tak więc rocznica Paktu Atlantyckiego będzie przebiegać raczej minorowo..

Znacznie ważniejsze jest jednak to, **jak owe rozbieżności wpłyną na przebieg wiedeńskich rokowań** na temat redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie. Obserwatorzy zastanawiają się, czy w sytuacji, kiedy strona zachodnia nie może dojść do porozumienia, jest ona w stanie konstruktywnie dyskutować w Wiedniu z krajami socjalistycznymi. Tymczasem w stolicy Austrii odbyło się 29 posiedzenie plenarne uczestników rokowań. Trwają też liczne kontakty wielostronne poza salą obrad. Przeważa opinia, że pewnego przełomu będzie można oczekiwać **dopiero po spotkaniu Nixona z Breżniewem,** co, jak wiadomo, nastąpi latem. W celu przygotowania tych rozmów do Moskwy udał się Kissinger. Na trzy dni przed swą podróżą oświadczył on na konferencji prasowej, że mimo nowych rozbieżności w sojuszu atlantyckim będzie reprezentował „całość interesów"

* * *

Przykładem możliwości podejmowania współpracy między krajami o różnych systemach politycznych — jest podpisana w piątek w stolicy Finlandii **konwencja o ochronie Bałtyku.** Sygnatariuszami porozumienia są wszystkie kraje nadbałtyckie, a w tej liczbie Polska.

Potrzeba współdziałania na tym polu wynika z wysokiego stopnia zanieczyszczeń wód Bałtyku. Nie bez powodu Morze Bałtyckie nazywa się „chorym" — do niego wpływają odpady przemysłowe 7 uprzemysłowionych krajów. Potrzebny jest więc wspólny wysiłek, aby Bałtyk nie stał się największym ściekiem przemysłowym świata. Drogi przeciwdziałania tym ujemnym skutkom ustala wspomniana konwencja.

Trzeba jednak na porozumienie spojrzeć również w kontekście politycznym — **nawiązania współpracy bałtyckiej siódemki,** mimo że są to kraje o głębokich różnicach politycznych i ekonomicznych. Można we wspólnych postanowieniach 7 krajów dopatrzyć się wzorca takiej współpracy regionalnej, która służy pełniejszym interesom. Dlatego o konwencji w Helsinkach pisze się jako o zachęcie do podejmowania pozytywnego rozstrzygania spraw także o większym ciężarze gatunkowym.

— **W Gdańsku i Helsinkach** — powiedział przewodniczący delegacji polskiej min. J. Kusiak — **urzeczywistniamy jeden z ważnych postulatów naszej polityki międzynarodowej — pokojową współpracę państw nadbałtyckich, współpracę, która powinna być coraz szersza.**

Nasz kraj jest przekonany, że droga do Europy współpracującej prowadzi przez takie decyzje, jakie właśnie podjęto w Helsinkach.

* * *

Po dwóch, omówionych powyżej, tematach ogólniejszych — przejdźmy do odnotowania wydarzeń szczegółowych.

Chcielibyśmy na przykład zwrócić uwagę czytelników **na pierwszą potyczkę,** jaką musiał stoczyć gabinet Wilsona **z opozycją w parlamencie.** Heath zamierzał wnieść poprawkę do rządowego programu walki z inflacją i przez uzyskanie dla niej poparcia większości deputowanych obalić rząd Partii Pracy. Wilson odpowiedział na ten zamiar gotowością natychmiastowego rozpisania nowych wyborów, której to ewentualności ulekli się konserwatyści. Zdają sobie bowiem sprawę z atutów, jakie w kilkanaście dni po objęciu rządów mają już labourzyści. Są to przerwanie strajku górników oraz powrót w przemyśle do 5-dniowego tygodnia pracy.

Inaczej rozpoczął swą działalność **nowy rząd włoski,** jak wiemy, sformowany przez poprzedniego premiera — Mariano Rumora. W jego ekspose znalazły się sformułowania, które komentatorzy odczytują jako wyraźne zadeklarowanie się Włoch po stronie zachodniej Europy w jej sporze ze Stanami Zjednoczonymi. „Osobowość europejska zdefiniowana na szczycie w Kopenhadze — powiedział m.in. Rumor — nie musi stać w sprzeczności z więzami solidarności ze Stanami Zjednoczonymi... Rząd włoski jednak uczyni wszystko, aby bronić i popierać swój wybór europejski".

Do najpoważniejszego od 40 lat **kryzysu politycznego doszło w Portugalii,** gdzie w wyniku zdymisjonowania szefa sztabu generalnego sił zbrojnych i jego zastępcy trwa duże napięcie. Nie wyklucza się, że może ono doprowadzić do walk wewnętrznych.

W. SŁAWSKI

ODGŁOSY naszych marzeń

WŁODZIMIERZ STOKOWSKI prezentuje:

ANGIELSKIE WYBORY

Publicystyka polityczna Mieczysława F. Rakowskiego, redaktora naczelnego „Polityki", budzi zawsze wśród Czytelników żywe zainteresowanie. Gruntowna znajomość poruszanych problemów, znakomite pióro — nadają tej publicystyce wysoką rangę. Fragmenty korespondencji z Wielkiej Brytanii przedrukowaliśmy z 10 numeru „Polityki".

Ladies and Gentlemen! Od Was zależy co stanie się z Anglią dzisiaj, jutro i pojutrze.

British people, naród brytyjski — woła szef partii konserwatywnej. Edward Heath — ma prawo domagać się silnego rządu. Zdaniem Harolda Wilsona, przywódcy Labour Party (Partia Pracy), tylko British people może decydować, czy Wielka Brytania powinna pozostać we Wspólnym Rynku czy też wyjść z niego. Jerome Thorpe, przywódca liberałów, wzywa British people do głosowania na jego partię. Nie należy niczego dobrego spodziewać się od konserwatystów i labourzystów!

Ślubne dziecko partii konserwatywnej Enoch Powell (Urodziłem się Torysem, jestem nim i umrę Torysem), odszczepieniec i buntownik, zajadły krytyk Heatha i jego polityki, woła: British peopl powinien pamiętać o świętym prawie Wielkiej Brytanii do swej niezależności.

British people to jednak rozmaici ludzie. Rozmaite też mają poglądy na teraźniejszość i przyszłość Wielkiej — czy jeszcze wielkiej? — Brytanii. British people jest głęboko podzielony. Pod względem klasowym, a więc w dużej mierze majątkowym, politycznym, obyczajowym, kulturalnym i wreszcie narodowym. Wszystkie te podziały istniejące na co dzień, ze szczególną wyrazistością ujawniają się w czasie walki wyborczej.

Mój pobyt w Anglii, na zaproszenie Ministra Spraw Zagranicznych, przypadł na ostatnie dziesięć dni lutego. Ostatnie dziesięć dni kampanii wyborczej.

Zanim wdamy się w analizę problemów, które spowodowały ogłoszenie przedterminowych wyborów oraz w opis przebiegu kampanii wyborczej, konieczne jest kontynuowanie wątku tematycznego wywodzącego się z hasła British people.

Harold Wilson występując na wiecach przemawiał zazwyczaj na tle wielkiej flagi brytyjskiej, nad którą widniał napis — One Nation, jeden naród. Wielu ludzi powątpiewa w prawdziwość tego hasła. Pomijając już głębokie rozdarcie narodowe — w Północnej Irlandii niemal codziennie wybuchają bomby, są ranni i zabici — naród brytyjski tworzy społeczność klasycznie kapitalistyczną. Wybitny polityk angielski Disraeli w 1845 r. pisał, że wciąż jeszcze istnieją dwa brytyjskie narody — bogaci i biedni. Istniejące dzisiaj fakty, łatwo dostępne dla każdego, potwierdzają opinie sprzed 129 lat. Pod wieloma względami — słyszę od mojego rozmówcy, p. Francois Duchene, szefa Instytutu Studiów Strategicznych w Londynie — jesteśmy bardziej klasowym społeczeństwem, aniżeli NRF czy nawet Francja.

Robotnicy przemysłowi tworzą zamkniętą grupę społeczną, która patrząc na rzeczywistość brytyjską stosuje jedno zasadnicze kryterium: my — ludzie pracy, wyzyskiwani i oni — bogacze, kapitaliści, wyzyskiwacze. W ostatnich dwudziestu latach w wysoko rozwiniętych krajach kapitalistycznych szalenie modne były teorie o zaniku sprzeczności klasowych, głoszono nastanie ery powszechnej zgody. Starano się też wmówić, iż powojenny, bardzo szybki rozwój gospodarczy tych krajów, ogólny wzrost stopy życiowej (w porównaniu z okresem międzywojennym), masowy wzrost konsumpcji, wprowadzenie społecznej służby zdrowia, np. w Wielkiej Brytanii, tworzy „państwo dobrobytu", w którym nikomu nie przyjdzie do głowy myślenie kategoriami Karola Marksa.

Dzisiaj, w 1974 r., nikomu nie przychodzi do głowy szerzenie owych „prawd", Podważa je codziennie również rzeczywistość brytyjska. Nie ma takiego miesiąca, w którym angielska klasa robotnicza nie domagałaby się bardziej sprawiedliwego podziału dochodu narodowego. Uparcie i twardo domaga się od kapitalistów, i od państwa kapitalistycznego, przeznaczenia części osiąganych zysków na płace dla pracujących. Biskup kościoła anglikańskiego Mervyn Stockwood z Southwark (południowa dzielnica Londynu) w artykule pt. „Co wybory mogą przynieść biednym?", opublikowanym na łamach „Times'a" (20.II.) pisał: 7 proc. najbogatszych brytyjskich podatników znajduje się w posiadaniu 84 proc. majątku kraju, 16 proc. jest rozproszone wśród 93 proc. ludności... Mało ludzi umiera z głodu, ale miliony z desperacją walczą o utrzymanie się na powierzchni ubogiego i nieprzewidywalnego życia. Po jednej stronie skali znajduje się niezwykłe bogactwo i luksus, po drugiej ubóstwo, ciężkie warunki i nędza.

Zdaniem biskupa, sytuacja mieszkaniowa w jego diecezji jest gorsza, aniżeli piętnaście lat temu, gdy obejmował swój urząd. Spekulacja mieszkaniami przybiera potworne rozmiary. Czy wiecie — zapytuje biskup — że kiedy kładziemy się spać do wygodnych łóżek, 8 tysięcy londyńczyków każdej nocy śpi pod gołym niebem? Zdaniem biskupa, tak za rządów labourzystów, jak i konserwatystów nie uczyniono nic takiego, co mogłoby zmienić tę sytuację. Nie wypada nie zgadzać się z dostojnym duchownym kościoła anglikańskiego.

Biskup w swym artykule — akcie oskarżenia — postawił dość ambarasujące pytanie: Rzucam panom Heathowi, Wilsonowi i Thorpe'owi wyzwanie, aby określił za pomocą faktów i liczb co zrobiliby w tej sprawie? Dobre pytanie.

Biegun bogactwa i luksusu! W czasie kampanii wyborczej opublikowano sprawozdanie firmy Imperial Chemical Industries, z którego wynikało, że jej nieopodatkowane zyski w ub. roku prawie uległy podwojeniu (715 mln dolarów). Barclays Bank poinformował o wzroście zysków w 1973 r. o 133 mln dolarów. Człowiek z ulicy, słyszę od jednego z moich rozmówców, nie może się z tym pogodzić. Stąd hasła wymierzone w bogaczy. Jeżeli mówią, że nie mogą podnieść nam emerytur, to znaczy, że nie chcą — woła plakat na wiecu. Konserwatyści pomagają bogatym, labourzyści — reszcie, zapewnia hasło wyprodukowane przez sztab wyborczy Labour Party.

Nie ma przekonywających dowodów na tezę o jednym narodzie. Jeżeli hasło One Nation wyziera zza pleców labourzystowskiego mówcy, to trzeba je traktować jako życzenie, a nie rzeczywistość. Jest zrozumiałe, że ledwo przez nas naszkicowane bieguny klasowe i inne tworzą określone poglądy i postawy polityczne, sympatie i antypatie, frustracje, gwałtowne odruchy etc. Wszystkie te zjawiska dały znać o sobie w kampanii wyborczej. I nie mogło być inaczej.

Lecz nie tylko sytuacja ekonomiczna i klimat polityczny panujący na wyspach brytyjskich jest czynnikiem, który trzeba uwzględnić zastanawiając się nad przebiegiem angielskich wyborów. Nie mniej ważne jest wszystko, co dzieje się poza Anglią. Nikt nie może dzisiaj pozwolić sobie na luksus izolowania się od swoich sąsiadów, przyjaciół, wrogów, od małych i wielkich problemów ekonomicznych i społecznych, które w różnym natężeniu dają znać o sobie. Wyspiarzy także na to nie stać.

Porozumienia radziecko-amerykańskie stworzyły nowy klimat polityczny w świecie. Nie usuwając zasadniczych sprzeczności pomiędzy kapitalizmem a socjalizmem spowodowały one wyraźnie osłabienie napięcia w świecie, obniżyły temperaturę wrogości, zwiększyły szansę na pokojową, wszechstronną współpracę państw o różnych systemach społecznych. Pierwsze doświadczenia zebrane we wszystkich tych dziedzinach są godne uwagi. Tak, np. wiadomo dziś wszystkim, że istniejący stopień współpracy między USA i ZSRR odegrał pozytywną rolę w położeniu kresu październikowej wojnie na Bliskim Wschodzie.

W Europie w owym czasie odnotowaliśmy dwa wielkie wydarzenia: podpisanie układów pomiędzy NRF a ZSRR i Polską oraz rozpoczęcie Europejskiej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy. Wszystko to oddziaływało z reguły pozytywnie na rozwój stosunków międzynarodowych oraz na umysły całych narodów. W bardzo wielu wypadkach spojrzeliśmy po nowemu na świat drugiej połowy XX wieku. Spojrzeliśmy bardziej optymistycznie. Niezadowoleni są jedynie ci, którzy wrośli w pojęcia wytworzone przez „zimną wojnę", albo też ci, dla których ów okres był dobrym biznesem (np. przemysł zbrojeniowy, wojowniczy generałowie albo też zawodowi antykomuniści).

Co się tyczy Wielkiej Brytanii, to jej rząd (konserwatywny)) nie przemęczał się w podejmowaniu wysiłków na rzecz odprężenia. Przeciwnie. Miał opinię raczej sztywnego i nieustępliwego, zwłaszcza wobec państw socjalistycznych. Wyraźne ślady tej postawy można było dostrzec w polityce zagranicznej oraz w środkach masowej informacji. Dla opinii publicznej wszystkie te sprawy były interesujące, ale zbytnio jej nie ekscytowały.

Wielkie polityczne manewry odbywające się na światowej scenie nie miały poważniejszego wpływu na kraj, który przywykł do patrzenia nieco z góry na wszystko, co dzieje się poza jego granicami. Do dziś o naszym kontynencie mówi się tutaj „Europa" w „Europie".

W 1973 r. nastąpiło kolejne wielkie wydarzenie lat siedemdziesiątych. Kryzys energetyczny! Odsłonił on ogromne słabości świata kapitalistycznego. Okazało się, że gospodarki tych krajów kwitnące zdrowiem (tak nam mówiono codziennie), są toczone przez poważne choroby. Gwałtowne inflacje, szybki i nieustanny wzrost cen, wzrost bezrobocia, niedobór surowców, załamywanie się systemów finansowych — dewaluacje i rewaluacje pieniądza, olbrzymie marnotrawstwo surowców, energii, przejawy kryzysu żywnościowego — oto co nagle stało się tematem numer jeden publicznych dyskusji polityków, dziennikarzy i zwyczajnych zjadaczy chleba. Także w Wielkiej Brytanii. I słusznie napisał amerykański publicysta James Reston w „International Herald Tribune", że wybory brytyjskie są tylko jednym dramatycznym symbolem o wiele głębszego kryzysu, jakim wstrząsany jest obecnie cały świat zachodni.

Ta faza wielkiego światowego ruszenia objęła swymi skutkami wszystkich Brytyjczyków. Kryzys, o którym pisze Reston, zaczął im gmerać w kieszeniach, wyciągać dodatkowe pensy i funty. Wielka Brytania importująca ogromne ilości surowców dla przemysłu oraz połowę spożywanej żywności jest szczególnie czuła na ruch cen na rynkach światowych. Tak więc skutki wydarzeń, które rozegrały się poza granicami Wielkiej Brytanii, zaczęły bardzo szybko komplikować stosunki gospodarcze i społeczne kraju.

Międzynarodowe tło owych stosunków nie może nam uciec z pola widzenia, jeśli chcemy odpowiedzieć sobie na pytanie: co się dzieje w Anglii? Do tła tego powrócimy więc jeszcze przy okazji Wspólnego Rynku. (...)

MIECZYSŁAW F. RAKOWSKI

JEŻ prezentuje:

PATRONAT czy PARTNERSTWO

WISZ (Wilhelm Szewczyk) od przeszło 20 lat publikuje swe felietony pt. „Co robią Niemcy?" na łamach „Życia Literackiego". Nie są to ulotne zapisy (miały wydanie książkowe), lecz aktualny stan wydarzeń i poglądów na temat niemieckiej umysłowości, problemów, które nas wszystkich żywo interesują.

WISZ należy do nielicznych już postaci renesansowych naszej kultury: poeta, prozaik, tłumacz, publicysta (od początku naczelny redaktor katowickich „Poglądów"), pracowity felietonista, niemcoznawca (kapitalna książka „Literatura niemiecka XX wieku"), autorytet w sprawach historii i współczesności Śląska, działacz społeczny. Słowem: człowiek — instytucja, a przy tym gruby, łysy, starszy pan z nieodłącznym cygarem — ktoś bardzo bliski, życzliwy i sympatyczny.

Od roku 1953 działają w Niemieckiej Republice Federalnej patronaty, jakie miasta zachodnioniemieckie roztoczyły nad byłymi miastami niemieckimi za Odrą i Nysą Łużycką, nad wschodnioniemieckimi ziomkostwami oraz niektórymi instytucjami, związanymi z działalnością odwetowych ziomkostw. Koła prawicowe w NRF podkreślają, że ojcem duchowym owych patronatów był obecny kanclerz Willy Brandt, który w lipcu 1953 przedłożył Bundestagowi deklarację, znaną odtąd w dziejach parlamentu zachodnioniemieckiego jako tzw. Brandt-Bericht. Przypominając Brandtowi to jego ojcostwo duchowe, wypomina mu się równocześnie, iż w latach późniejszych z pozycji, ustanowionych przez siebie w roku 1953, zrejterował, co doprowadziło go w końcu do pojednania się ze Wschodem.

Patronaty miejskie w tym kontekście politycznym są oczywiście problemem nie najważniejszym, godnym jednak uwagi z dwóch względów: po pierwsze — niektóre z nich wykazują sporą dynamikę w działaniu, co najczęściej wiąże się z odpowiednim, ku prawicy skłaniającym się układem sił w danym mieście, ożywiając przez tę dynamikę wygasającą aktywność kół odwetowych; po drugie — istnieje i była już wielokrotnie publicznie dyskutowana na licznych niemiecko-polskich spotkaniach w NRF możliwość przekształcenia patronatów w partnerstwo żywych miast.

Niektóre z powstałych na przełomie lat 1953/54 patronatów pozostały tylko na papierze, na uroczystym dokumencie taki patronat zwiastującym; przyznaje to nawet „Deutscher Ostdienst", biuletyn tzw. Związku Wypędzonych, piórem swego publicysty, Georga Hermanowskiego. Stało się tak z różnych powodów, najczęściej z tej przyczyny, iż przesiedleńcy z małych miast zaodrzańskich, żyjąc na terenie NRF w diasporze, patronatów takich nie potrzebowali, albo też dość rychło zintegrowani zostali w zachodnioniemieckim społeczeństwie, zrywając niepotrzebne im już związki tego rodzaju. Bądź co bądź jednak do naszych czasów przetrwało blisko 350 takich patronatów, o różnej, rzecz jasna, dynamice działania. Przetrwały przede wszystkim te, które działalność swą oparły na zasadzie „związków duchowych" z utraconymi miastami, ich kulturą i tradycją, które postanowiły zatroszczyć się o ich pielęgnację czy nawet ewentualnie kontynuację tradycji, włączając niektóre jej elementy jako wartości trwałe do tradycji miast zachodnioniemieckich. Inaczej mówiąc: przetrwały głównie te patronaty, które korzystały z pomyślnego dla ich idei układu politycznego, gdzie wciąż jeszcze istniało polityczne zapotrzebowanie na odnowienie myśli o dawnych wschodnich rubieżach niemieckiej Rzeszy. Ponieważ jednak na przestrzeni ostatnich lat zaczęły się zmieniać nie stałe przecież układy wewnątrzpolityczne, wobec tego tu i ówdzie więzi te słabły wyraźnie, choć formalnie ustanowiony ongiś patronat istniał nadal.

Przedstawiciele tych coraz liczniejszych środowisk najczęściej też nawoływali — a mogli się o tym przekonać również Polacy zapraszani na publiczne dyskusje nad perspektywami rozwoju dalszych stosunków zachodnioniemiecko-polskich — do likwidacji partonatów, sprawowanych przecież nad fikcyjnymi, abstrakcyjnymi w życiu i rozwoju społecznym, nie istniejącymi już miastami. Oni też wysuwali i rozwijali propozycje zamiany patronatów na patnerstwa żywych organizmów miejskich, polskich miast z ziem zachodnich i północnych z miastami zachodnioniemieckimi.

Idea partnerstwa, rozważana już również poważnie przez poszczególne rady miejskie, uznana została przez koła odwetowe za najcięższy cios, jaki „w dwudziestą rocznicę istnienia patronatów zamierza się im zadać". Aczkolwiek do takiego stałego partnerstwa nie zobowiązało się jeszcze żadne ani polskie ani też zachodnioniemieckie miasto, poczynione zostały pewne próby wymiany, na przykład między Kilonią a Gdańskiem, które obie strony oceniły jako pozytywne zalążki ewentualnej przyszłej współpracy.

Oprócz zjazdów i spotkań ziomkowskich z ich nieodzownymi treściami odwetowymi, odbywają się w NRF również zjazdy organizowane przez miasta-patronów. Prasa przesiedleńcza narzeka jednak ostatnio, że wykazują one coraz mniejszą frekwencję, zwłaszcza iż „nikomu nie płaci się delegacji, każdy musi taki wyjazd, pobyt w hotelu i utrzymanie zapłacić z własnej kieszeni". Nie jest to oczywiście jedyny powód zmniejszającej się frekwencji zjazdowej — coraz wyraźniejszy jest dystans poszczególnych miast patronackich wobec zorganizowanych przesiedleńców, którymi przed dwudziestu laty opiekowano się z czystego ludzkiego współczucia i którym starano się pomóc w ustanowieniu odpowiedniej egzystencji materialnej. Burmistrzowie czy też przedstawiciele miast patronackich pojawiają się jeszcze wprawdzie — choć nie wszędzie — na niektórych zjazdach ziomkowskich z przemówieniami powitalnymi, ale bardziej czujna niż dawniej opinia społeczna i te formalne już tylko akty dobrej woli potępia, uważając je za relikt zamierzchłych czasów negacji wszelkiej pozytywnej polityki wschodniej.

Dystans powiększa się tym mocniej, iż w niektórych miastach NRF odbyły się cykliczne już imprezy, zwane na ogół dniami kultury polskiej, na których doszło również do nieoficjalnego wprawdzie, ale konkretnego zbliżenia przedstawicieli polskich i zachodnioniemieckich władz miejskich. Opinia zachodnioniemiecka spodziewa się, iż po podpisaniu aktualnie dyskutowanego układu kulturalnego między NRF a PRL zginą resztki patronatów, nastanie era partnerstwa, która byłaby nieporozumieniem, gdyby rozwijać się miała obok patronatów.

Bilans dwudziestu lat istnienia patronatów, dokonany w NRF, zabrzmiał jak mowa pogrzebowa. Niezależnie od tego, czy i jaką szansę będzie miało partnerstwo miast, faktem jest, że liczne miasta zachodnioniemieckie pragną się pozbyć obciążeń patronackich, narzuconych im w swoim czasie w imię polityki nieuznawania realiów politycznych na Wschodzie.

WISZ

ODGŁOSY naszych marzeń

WIDOK prezentuje:

PUSTE MIEJSCE

Hamilton z „Kultury" pisuje ostatnio mało, ale w polskiej felietonistyce jego dorobek jest niezwykle znaczący, ważki i niebanalny Dlatego nie chcę go banalizować mnożąc superlatywy. Prezentuję więc felieton „Puste miejsce" z tomu wydanego w ubiegłym roku przez PIW. Ten felieton właśnie, bowiem mówi on o jeszcze jednym wielkim felietoniście polskim, Janie Szelagu czyli Zbigniewie Mitznerze. Ten felieton właśnie, bowiem gdyby żył Mitzner, jego tekst zaprezentowałbym zapewne czytelnikom „Odgłosów".

1.

Przychodził do redakcji rzadko, a ja jeszcze rzadziej, toteż spotkałem go zaledwie parę razy, były to spotkania przelotne. Ale tu, na tej kolumnie, spotykaliśmy się często; jeśli rzadziej niż co tydzień, to wyłącznie z mojej winy, bo ja piszę swoje teksty kapryśnie, a on był regularny jak zegarek. Był dziennikarzem funkcjonującym zawsze, bez względu na humor i pogodę, zdrowie i natchnienie, symbolizował obecność nieustającą. I oto nagle ten rytm się urwał, i jest to jak gdyby odchylenie od normy. Ale to tylko śmierć, rzecz zwykła, która wszakże zawsze budzi zdziwienie największe.

2.

Był początek tygodnia, „Kultura" miała wystąpić w „Pegazie", było trochę kabli, kamer i ludzi, siedziałem nastroszony, nie wiedząc, co zrobić z palcami i ze sobą. W końcu, zanim schwytały mnie kamery, wycofałem się do jakiegoś pokoju, który był pusty, i posłałem młodziutkiego malutkiego poetę po koniak, przyniósł rum polski „Seniorita". Siedziałem sam, a właściwie bardziej niż sam, bo z flaszką tego rumu; ktokolwiek głowę przez drzwi wstawił, zaraz ją wycofywał, gdy zobaczył ten rum, a jeszcze mnie w dodatku. A nazajutrz zobaczyłem w „Życiu Warszawy" nekrolog. To właśnie wtedy, gdy ja wchodziłem do pustego pokoju w redakcji, on wchodził do pustego pokoju w innym świecie, pokoju tak zupełnie pustego, że nie ma w nim sufitu, podłogi, ścian, nie ma niczego i nikogo, także wtedy gdy on już tam wszedł. Wychodził z życia w nicość, z miejsca w „Kulturze" w obrzeżone czarną ramką miejsce w czyjejś pamięci.

3.

Miejsce człowieka w życiu jest to wiele miejsc, to są miejsca, na których stawiał kroki, to są miejsca w czyimś sercu, to są także ślady jego działalności. Ślady działalności felietonisty są nader wyraźne, są to miejsca na papierze podpisywane tym samym pseudonimem czy nazwiskiem zawsze w tym samym miejscu gazety. Przetrwają one w sensie fizycznym, dopóki przetrwa papier; w sensie duchowym — dopóki ktoś będzie chciał po ten papier sięgać. Sąsiad mój miał ambicję nawiązywania do wielkich tradycji felietonowych w piśmiennictwie polskim, jego pisarzem ulubionym był Prus. I był taki jak Prus: odwrócony od siebie, zwrócony ku uciążliwym drobiazgom codzienności. Jednym z jego tematów przedostatnich była koszula. Po prostu koszula. Kupiona w jakimś domu towarowym czy sklepie koszula.

4.

Miała ona wszystko co trzeba: kołnierzyk, guziki, rękawy... Ale nie pasowała na niego. O! jak nie pasowała. I dziwił się, że tak na niego nie pasuje. Miała ona więcej niż trzeba: podkład tekturowy, jeden, drugi, spinki plastikowe, specjalny usztywniacz z papieru pod kołnierzykiem i jeszcze ochraniacz z folii. Ale źle się w niej czuł. O! jak źle. I dziwił się, że tak źle się w niej czuje. I teraz została ta nieudana koszula, wisi w szafie, został felieton, leży w jakiejś szufladzie. I oto felieton ten nabrał dziś znaczeń nieoczekiwanych, czyta się go jak wiersz liryczny.

5.

Umarł na posterunku, nie wypuszczając pióra z ręki właściwie do ostatka. Pisał o mankamentach naszego życia codziennego, o stojących zegarach kolejowych, o pociągach, które spóźniły się na stację, o pociągach, które nie przyjechały na tę stację nigdy. I nie wiedziałem, ile w tym było grozy. I oto odszedł w sposób tak naturalny, jakby odchodził do domu czy kawiarni. A na jego miejsce wejdzie za chwilę ktoś inny.

6.

Życie nie znosi miejsc pustych. Piach sypie się na trumnę; pamięć zapełnia się twarzami nowymi, ludzie żywi wypychają ludzi zmarłych. Grób zarasta trawą; szpalty gazet zapełniane kiedyś przez kogoś, kogo już nie ma, zarastają literami, które stawia już ktoś inny. Ale czasem patrząc na pewne miejsce na tej kolumnie, miejsce zadrukowane gruntownie, wyobraźcie sobie przez moment, że to jest m i e j s c e p u s t e, miejsce opuszczone na zawsze przez kogoś, kto przez tyle tygodni i tygodni, miesięcy i miesięcy, lat i lat wystukiwał na nim uporczywie swoje TAK I NIE...

7.

TAK I NIE, TAK I NIE, TAK I — — — — — — — — — — — — — — — — — —

15.XII.1968

HAMILTON

ANDRZEJ GRUN — FRYZURY

MARCIN RODAK prezentuje:

WYWIADÓWKA

Jerzy Urban pisuje wszędzie — od „Kulis" po „Politykę". Pisuje od lat. Publicysta, felietonista, szyderca. Można się zgadzać z tym, co pisze, można, a nawet trzeba polemizować, ale nie można przejść obojętnie. I zawsze trzeba pytać: jak on to robi? Felieton pt: Wywiadówka przedrukowujemy ze „Szpilek".

Znam przodka pewnej siedemnastoletniej dziewczyny, owszem inteligent, który poszedł do liceum na wywiadówkę poświęconą wzmocnieniu współpracy wychowawczej szkoła — dom.

Znajomy przodek, będąc z tytułu swej służby dla społeczeństwa codziennym uczestnikiem narad i odpraw, nabrał zwyczaju notowania w punktach dyrektyw, więc pokazał mi plon wywiadówki:

1. Mleko jest zdrowe. Młodzież pić je powinna.
2. Alkohol jest niezdrowy. Młodzież pija alkohol, a nie powinna.
3. Lekarze są przeciw papierosom, a szkoła ich zabrania. Dziewczęta papierosy palą w klozecie, a powinny ich nie palić.
4. Kapcie są niezdrowe. Zdrowe są buty na twardej podeszwie. — Panienki powinny je trzymać w workach — twierdzi woźna. Te buty mogą być stare albo letnie.
5. Władze szkolne są liberalne. Już nie nakazują noszenia fartuchów. Młodzież powinna nosić fartuchy, zamiast domagać się nowych strojów. Pod fartuchami można wydzierać rzeczy wyrośnięte i podarte, a wtedy nie trzeba będzie kupować nowych, szczególnie komisowych.
6. Młodzież chodzi do kawiarni, a nie powinna. Kawiarnia i szminki niszczą cerę. Młodzież powinna spacerować i to póki jest jasno. Spacerować należy godzinę albo dwie.
7. Młodzież urządza prywatki, a nie powinna. Młodzież powinna uprawiać sport, a szkoła zezwala na udział w życiu kulturalnym nawet poza szkołą. Kiedy młodzież chodzi do kawiarni albo na prywatki, rodzice nie wiedzą gdzie, z kim i po co młodzież chodzi — a powinni.

Znajomy przodek oddaje się raczej służbie publicznej niż myśleniu, ale jako ojciec jednak naprawdę jest przodkiem niż tylkiem. — Moja Aga — tak określa córkę — jest w trudnym wieku. Ona odrzuca doświadczenia społeczne przekonana, że jest bytem niepowtarzalnym, fenomenem, którego nikt nie zrozumie. Ją napomnienia bardzo odstręczają, nerwicują i oddalają — tę Agę. Ona, odwrotnie niż ludzie, w domu nie koncentruje się myślowo, a tylko przy muzyce i w tłumie. Ona — ta Aga właśnie — potrzebuje samotności, której nie ma, gdy jest sama, bo wtedy musi rozmawiać ze sobą. Ona — ta Aga — dla uzyskania poczucia samotności musi być otoczona rówieśnikami.

Od przodków, wychowawców, bohaterów literackich, od indywidualności z grupy koleżeńskiej i postaci filmowych ta Aga oczekuje, żeby się kompromitowali. Jeśli tego nie czynią i pozostają dłuższy czas wzorcami nieskalanymi, Aga ta odczuwa rozczarowanie wobec ludzi w ogóle, społeczeństwa i rzeczywistości. Aga dziwi się, że musi przodkowi wyjaśniać dlaczego tak jest. I dziwi się także, że ojciec nazywa ten tok myślenia „pogonią za paradoksem" i „literacką pozą". Przecież gdy wzorzec jest prawdziwie pozytywny, świat z nim kontrastuje i wydaje się rozpaczliwie zły. Kiedy wzorzec osobowy wychodzi na świnię — wtedy świat staje się relatywnie lepszy, bo zło jawi się jako coś powszechnego, normalnego, nieodzownego — powiada Aga. Gdy bohaterowie przystają do otoczenia nie wyskakując ponad nie — świat wtedy łatwiej zaakceptować takim, jaki on jest. Nadto ta Aga odmówiła pójścia do łóżka ze swoim chłopakiem, z którym chodzi od samego początku roku szkolnego, więc uciekła potem z domu, gdyż czuła się intelektualnie wymęczona. Odkąd odmówiła, bezowocnie usiłowała odpowiedzieć sobie na pytanie: „dlaczego?". „Może dlatego, że nie miałaś ochoty" — proponowała jej matka, żona przodka, i to było takie płytkie, że Aga doznała obrzydzenia wobec domu i musiała odpocząć. Potem mój znajomy, przodek Agi, poszedł na wywiadówkę, bo był zaniepokojony, więc chciał zacieśnić współpracę wychowawczą między szkołą i domem. Powiedzieli tam jeszcze na tej wywiadówce, że rodzice powinni regularnie płacić składki i dawać dzieciom do szkoły drugie śniadanie, bo ono jest zdrowe.

Gdyby do Raportu prof. Szczepańskiego każdy mógł się dopisywać, ja bym dopisał wskazanie dla władz szkolnych: „Administracja szkolnictwa zakaże surowo nauczycielom zajmować się w ogóle, w jakiejkolwiek formie lub sytuacji, takimi sprawami uczniów, jak: stroje, fryzury, makijaże, obuwie, prywatki, kawiarnie, picie mleka lub alkoholu, palenie, sposób bycia i tym podobnymi objawami ściśle zewnętrznymi".

Unicestwienie koncentrujących ich zainteresowania obiektów zastępczych, umożliwiających łatwe pozorowanie działalności wychowawczej — zmusiłoby pedagogów do usiłowań zajęcia się istotą rzeczy.

Teraz, co jest istotą rzeczy? Marek Siemek, filozof, przepraszam, ale marksistowski, któremu zamieszczono wypowiedź w październikowym numerze „Miesięcznika Literackiego" pisze: „Moim zdaniem edukacja taka — tzn. bezpośrednie, ściśle adresowane oddziaływanie za pośrednictwem aparatu pedagogicznego, zmierzającego do transmisji pewnych kodeksów, czyli pewnych zhierarchizowanych systemów wartości o charakterze moralnym, jest w naszych warunkach nie tylko niepotrzebne, ale i niepożądane (...) a nie ma nic bardziej obcego marksizmowi niż idea reorganizacji społeczeństwa poprzez pedagogiczno-etyczne oddziaływanie na świadomość i wolę poszczególnych jednostek: I dalej: Marksizm nie odwołuje się do ludzi „dobrych", gdyż po pierwsze nie wierzy w ich istnienie, a po drugie nie potrzebuje go zakładać. Powiedziałbym paradoksalnie: marksizm raczej zakłada, że ludzie są „źli" — i nie chce ich „naprawiać", lecz tylko zamierza z tego „zła" uczynić możliwie najwięcej dobrego dla społeczeństwa (...) bezpośrednia edukacja moralna będzie zawsze edukacją pozorną, jedyna edukacja prawdziwa — to ciągłe przekształcanie struktury społeczeństwa i jego głównych mechanizmów w kierunku organizacji maksymalnie racjonalnej.

Ciekawe, że bywalec wywiadówek, przodek Agi, taki bezradny w sprawach wychowawczych, nawet tych szkolnych, związanych z kapciami, kawiarnią, mlekiem, wódeczka — mnie na przykład skutecznie odzwyczaja od alkoholu, zmieniając, tak jak radzi Siemek, na lepsze byt swoich gości. Ów przodek otwiera barek o urozmaiconej zawartości i potem ciągle pyta: „Co wypijesz?". Odpowiadanie na te pytania, dokonywanie wyboru, bardziej nudzi mnie i męczy niż cieszy picie.

JERZY URBAN

ĆWIEK prezentuje:

ORGANIZM

Krzysztof Teodor Toeplitz, czyli KTT — znany od wielu lat i młody od wielu lat felietonista, redaktor „Szpilek", wielki mistrz „Kuchni Polskiej" w „Kulturze", współpracownik paru tuzinów najlepszych pism — oczywiście, stołecznych — twierdzi o swych felietonach, że: „wiele jest niewątpliwie przejaskrawionych i bez wątpienia przesadnych, nie należy więc traktować ich dosłownie. Równocześnie jednak ich autor czułby się dotknięty, gdyby Czytelnik nie zechciał potraktować ich na serio, ponieważ w formie niepoważnej mówi się tu o sprawach nieraz aż nazbyt poważnych".

Autor przedmowy do jednego z książkowych zbiorów felietonów Toeplitza, Janusz Wilhelmi, stwierdza, że „oczywiście, nie musimy się zgadzać z Toeplitzem w każdym szczególe. Również i Toeplitz nie musi zawsze zgadzać się z nami". Skoro zatem nikt nas do jednomyślności z Toeplitzem nie zmusza, oddychamy z ulgą i sięgamy na przykład po „Organizm" sprzed dwunastu lat. Sięgamy i stwierdzamy, że prawa biologiczne są wieczne i że tędzy pisarze mogą o nich pisać wiecznie, bez obawy dezaktualizacji.

Już samo pojęcie organizmu wynika z właściwej ludziom skłonności do filozofowania i w ogóle do nadmiaru świadomości. U zwierząt ten problem nie istnieje. Zwierzę nie wie, że ma organizm, całe jest organizmem albo też organizm jest cały zwierzęciem, i spokój. Natomiast człowiek na skutek tego, że w drodze filozoficznych spekulacji zdołał w pewnym stopniu oddzielić się, przynajmniej we własnym przekonaniu, od swego organizmu, ma z nim przez całe życie tysiące trosk i kłopotów. Jeszcze pół biedy z dogadzaniem organizmowi. Kiedy organizm sobie poje i w ogóle, człowiek też ma z tego jakąś przyjemność. Gorzej jednak, gdy organizm zaczyna sobie pozwalać. Człowiek na przykład snuje wzniosłe plany, żeby napisać dużą powieść w czterech tomach albo pojechać na Madagaskar, a organizm woli leżeć na kanapie, nic nie pisać i nigdzie nie jechać. Jest leniwy i gnuśny i wiele wzniosłych planów ludzkich legło w gruzach przez lenistwo i bezwład organizmu. Stosunek organizmu do człowieka jest stosunkiem złośliwym i perfidnym. Organizm prawie zawsze robi człowiekowi na złość, co najlepiej można sprawdzić, pijąc wódkę. Człowiek już jest cudownie zabawny i rozbawiony, a organizm zawsze wypije o te dwa lub trzy kieliszki za dużo, żeby człowieka poniżyć i ośmieszyć. Albo odwrotnie — organizm pije i pije, a człowiekowi nic z tego. Tylko nazajutrz człowiek ma absolutne przekonanie, że przecież nic nie pił, a organizm bez przerwy by mu się tylko kładł na kanapie lub zasypiał.

Ludzie bez przerwy toczą walkę z organizmem i na tym między innymi polega ewolucja naszego gatunku. Istnieje jednak kilka metod postępowania z organizmem. Jedną z nich wynaleźli jogowie. Polega ona na tym, żeby organizm zmaltretować i zgnoić, po prostu jak się to mówi, dać mu w kość. Niedawno pewna pani w Towarzystwie Przyjaźni Polsko-Indyjskiej dała publiczny pokaz katowania własnego organizmu i rzeczywiście robiła z nim rzeczy niezwykłe — wyginała, dręczyła i traktowała fatalnie, ale efekt w sumie był niezadowalający, ponieważ owa pani nie zdołała mimo to wyzwolić się od swego organizmu, ciągle była z nim razem, tyle tylko, że było jej na pewno bardzo niewygodnie.

Istnieje również szkoła polegająca na pielęgnowaniu organizmu. Zwolennicy tej szkoły bezustannie zanoszą swoje organizmy do lekarzy, przychodni, sanatoriów i szpitali, ciągle je analizują, nasłuchują, przyglądają się, co jest w środku, dłubią przy nich i szpikują chemikaliami, mając nadzieję, że w końcu tak je wyregulują, iż będą mieli spokój. Tymczasem nic podobnego. Nieszczęśnicy ci nie biorą bowiem pod uwagę wspomnianej wyżej złościwości organizmu. Organizm, o który się dba, staje się z miejsca organizmem kapryśnym i fanaberyjnym. Jest to fakt dowiedziony chociażby na sportowcach. Sportowcy zawodowo dbają o swoje organizmy jako o narzędzie pracy i właśnie dlatego nigdzie nie obserwujemy takiej ilości zwichnięć, kontuzji, niedyspozycji żołądkowych i innych, jak w sporcie. Jest to widomy przykład, jak niebezpiecznie jest wydelikacić i rozpieścić organizm.

Trzecią więc metodą postępowania z organizmem jest system lekceważenia. Po prostu nie trzeba zwracać na organizm uwagi, nawet gdyby coś bolało. Organizm nie może boleć bez przerwy, musi mu się to kiedyś znudzić. Jeśli weźmiemy go na przetrzymanie, nie zdradzimy zaniepokojenia i nie ustąpimy mu ani na krok zarówno w trybie życia, jak i jadłospisie, będzie musiał wreszcie skapitulować. Są ludzie, którzy doszli na tej drodze do poważnych wyników. O jednym z nich krąży nawet anegdotka, że gdy pewien dziennikarz odwiedzał dom starców, prezentowano mu kolejno co sędziwsze okazy, przy czym dziennikarz zapytywał, jaką drogą doszli do tak wspaniałych wyników. Czcigodni, osiemdziesięcio- i dziewięćdziesięcioletni starcy twierdzili zgodnie, że są to rezultaty wstrzemięźliwości i pielęgnacji. Na koniec jednak wprowadzono bardzo zgrzybiałego staruszka, który kategorycznie stwierdził, że wszelka wstrzemięźliwość była i pozostała dlań rzeczą obcą.

— A ile pan ma lat? — zapytał zaciekawiony dziennikarz.

— Czterdzieści — rzekł dumnie patriarcha.

Jest to pointa filozoficzna. Nie bardzo wiem wprawdzie, co ma z niej wynikać, ale pocieszam się, że nie różnię się pod tym względem od innych autorów felietonów filozoficznych, pisujących w naszej prasie.

KTT

BOGDA MADEJ prezentuje:

MEFISTO

Bohdan Tomaszewski — wieloletni sprawozdawca sportowy radia i telewizji, a także stały felietonista „Kultury". Polscy kibice znają go nie gorzej niż najpopularniejszych zawodników. Tomaszewski należy do tych nielicznych, którzy w sporcie widzą nie tylko wyniki. A poza tym przystojny.

Felieton „Mefisto" z cyklu „Laury i kolce" przedrukowujemy z tygodnika „Kultura".

To, co dziś piszę, dedykuję nowym działaczom, którzy od niedawna zajęli stanowiska w nowo utworzonych władzach naszych związków sportowych. Dodajmy, że wśród nich znajduje się spora liczba zaskakująco młodych ludzi, bowiem nie od dziś stawiamy na młodych.

Witold Gerutto był człowiekiem arcytwardym. Nie wiem, jakim był w młodości, bo nie znałem go wtedy, ale kiedy minął już czas jego kariery wyczynowca przerwanej przez wojnę i zaczął odgrywać wybitną rolę w polskim sporcie, należał do nielicznego raczej grona ludzi mających swoje zdanie. Był kimś. To był jakiś rezerwuar niespożytej energii, lapidarności, rubaszności, niektórzy mówili — bezwzględności, inni wspominali tylko o jakiejś specyficznej surowości, z jaką traktował sport, który uznawał za najlepszą rozrywkę dla mężczyzny — ale była to zdaniem Gerutty rozrywka, która nie tylko niesie przyjemność, ale i nakłada obowiązki.

(...) Jego pierwsze zawody. Rodzinne Grodno, rok 1930. Przyjechały na nie znakomitości z Białegostoku. „Staliśmy jak zajechał autobus i przyglądaliśmy się gościom z podziwem — opowiadał o swoim debiucie na boisku. — Rozmawiali tylko ze sobą, na nas nie zwracali uwagi. Zaproszono ich do defilady, nas nie. Wreszcie zaczęły się zawody. Boisko znaliśmy doskonale. Każdą kępkę, każdą łysinkę. Ale do 34 metra. Dalej już nie, bo tam nigdy nasze dyski nie padały. A ten z Białegostoku zakręcił się i dysk poleciał ponad naszymi wszystkimi kępkami. Wtedy wywołano mojego przyjaciela Lonię Fiedoruka. Sapał, miał czerwone uszy i kark. To nie wróżyło nic dobrego. Faktycznie, wyszła „świeca" nie dłuższa niż na 20 metrów. Lonia jeszcze bardziej pokraśniał, odszedł na bok i patrzył ile ja rzucę. Rzuciłem 28 m. Ostatecznie zajęliśmy drugie i trzecie miejsce, a ten z Białegostoku był pierwszy, miał chyba ponad 42 m. Co za technika, jaka siła. Jak przyszedł, tak poszedł. Słowa z nami nie zamienił. I tak było w każdej konkurencji. Nasi goście wygrywali wszystko, co było do wygrania. Potem postawiono ich przed trybuną i wręczono medale. Siedzieliśmy z Lonią w głębokiej trawie po przeciwnej stronie boiska, żuliśmy jakieś źdźbła... Ale przecież nie było tak źle, zajęliśmy dobre miejsca, tylko mogli dać choćby dyplomy. Albo przynajmniej ustawić w szeregu i podać rękę. Wstaliśmy i poszliśmy w stronę szatni. Lonia objął mnie ramieniem i jakimś dziwnym głosem powiedział: — To nic Wicia, my im jeszcze pokażemy! Spojrzałem na przyjaciela, uszy miał białe, kark też, tylko szczęki twardo zaciśnięte i łzy w oczach..."

To jedno z dawnych opowiadań Mefista-Gerutty przypomniało mi się, kiedy byłem na jego pogrzebie. Na Powązkach było nawet dużo ludzi, oszczepnik Radziwonowicz i kilku dawnych kolegów Gerutty niosło trumnę. Dwie osoby przemawiały. W tłumie z największym trudem dostrzegłem zaledwie kilku zawodników z drużyny, którą nazywaliśmy kiedyś Wunderteamem, a którą stworzył przecież również Witold Gerutto. Nie dziwię się, że młodzi nie lubią chodzić na pogrzeby, ale mimo to było mi jakoś dziwnie, że na tym pogrzebie nie stawili się w komplecie ci wszyscy, których Gerutto prowadził do najrozmaitszych meczów w kraju i za granicą, których trenował i którym udzielał rad sportowych i życiowych, a oni przejmowali od tego człowieka to wszystko, co było czystą esencją sportu. I rozmyślnie wspominam o tym dopiero w kilka tygodni po pożegnaniu Mefista, bo wreszcie chcę zrzucić jakiś żal z serca i cząstkę ciężaru po stracie, jaką poniósł nasz sport.

BOHDAN TOMASZEWSKI

MUZEA

Na okładce „Sąd Ostateczny" Memlinga i tytuł: „Przewodnik po muzeach zbiorach w Polsce". Autor — profesor Stanisław Lorentz. Właściwie nic więcej można nie pisać. Mamy bowiem do czynienia z książką, która w sposób kompetentny i wyczerpujący, acz zwięzły, notuje wszystko to, co w Polsce jest warte obejrzenia.

Oczywiście przeciętnemu człowiekowi nie starczy życia, aby zwiedzić wszystkie polskie muzea i zbiory. Trudno uwierzyć, ale to prawda. Dla przykładu: etnografię i sztukę prezentuje 60 muzeów, archeologię — 44 muzea, sztukę średniowieczną — 22 muzea, sztukę nowożytną — 34 muzea, sztukę zdobniczą — 31 muzeów... Muzeów biograficznych jest 47, muzeów przyrodniczych — 35... W sumie mamy parę setek muzeów i zbiorów, których lista zajmuje... około 13 stron druku. Jeśli więc przeciętny człowiek nie jest w stanie odwiedzić wszystkich polskich placówek muzealnych, niech przynajmniej kupi tę książkę, aby wiedzieć, jaki jest „stan posiadania" zbiorów polskiej i światowej kultury.

Stanisław Lorentz „Przewodnik po muzeach i zbiorach w Polsce", Wyd. Interpress, cena 100 zł.

ROZWÓJ KULTURY

Nie jest to, jak mogłoby wynikać z tytułu, monograficzno-historyczne opracowanie zagadnień kultury Polski Ludowej. Prezentując generalne problemy z kręgu doświadczenia życia kulturalnego PRL, zatrzymuje się autor na trzech grupach zagadnień. Pierwsza — to określenie i analiza ogólnych, niezmiennych cech polityki kulturalnej w okresie władzy ludowej. Druga — określenie związków między ogólnym rozwojem społecznym a kształtem kultury w poszczególnych okresach rozwoju społeczeństwa socjalistycznego. Trzecia wiąże się z przedstawieniem aktualnego stanu naszej kultury i jej perspektyw rozwojowych.

Książka na pewno potrzebna i ważka, przynosząca mnóstwo podstawowych informacji, choć zapewne w wielu punktach dyskusyjna. Z pozycji niespecjalisty pozwolę sobie na przykład powątpiewać w mniemanie autora na temat zmniejszania się wpływu wzorów drobnomieszczeńskiego stylu życia i mentalności... Ale to oczywiście rzecz do osobnej dyskusji.

Jerzy Kossak „Rozwój kultury w Polsce Ludowej", Wyd. Iskry cena 20 zł.

STARE I NOWE

Lucjan Rudnicki wszedł do literatury polskiej powieścią „Odrodzenie", potem wydał jeszcze „Republikę demokratyczną" oraz tom opowiadań... Pozostał jednak w literaturze dzięki pamiętnikowi „Stare i nowe". Zwłaszcza pierwszy tom tej opowieści jest pozycją niepowtarzalną.

Pierwsze próby powieściowe dały Rudnickiemu umiejętność celnego operowania materią faktów, choć nie były to powieści wybitne. Dopiero połączenie ogromnej, bo autentycznej wiedzy o życiu robotnika na początku tego wieku z pisarską sprawnością — dały rezultat niepowtarzalny w „Starym i nowym", gdzie literacka fikcja została odrzucona na rzecz pamiętnikarskiej narracji. Sławna to książka i sława ta jak najbardziej zasłużona.

Lucjan Rudnicki „Stare i nowe", PIW, cena 12 zł.

SPRZED PÓŁ WIEKU

Trzecia książka pamiętnikarska w dzisiejszym „ex librisie", tym razem Alfreda Wysockiego, dyplomaty, podróżnika i pisarza. Są to wspomnienia spotkań, rozmów i doświadczeń sprzed pół wieku, a więc kopalnia wiadomości bezcennych, nieznanych ciekawostek, a czasem pikantnych anegdot. Niezmiernie bogaty materiał dla wszystkich, którzy interesują się literaturą i sztuką Młodej Polski.

Polska „moderna" końca XIX wieku posiadała swoją specyfikę — Wysocki opowiada o tych latach i sprawach rozgrywających się na tle ówczesnego Krakowa. Nic więc dziwnego, że spotykamy na tych kartach i Boya-Żeleńskiego i Przybyszewskiego i — oczywiście — Grzymałę-Siedleckiego.

Alfred Wysocki „Sprzed pół wieku", Wyd. Literackie, cena 50 zł.

ŚWIAT AKTORSKI

Adam Grzymała-Siedlecki zaczynał w Krakowie jako kierownik literacki w teatrze Ludwika Solskiego. Już w roku 1908 wsławił się bodaj pierwszą książką o „Weselu" Wyspiańskiego — książką wnikliwą i mądrą, której trwała wartość ceniona jest do dziś. Potem był dyrektorem teatrów w Krakowie. Po przeniesieniu się do Warszawy był kierownikiem literackim w Krakowie, pisał stale recenzje teatralne, komedie...

Po wojnie pozostał teatrowi wierny — tym razem w Bygoszczy, jako kierownik literacki tamtejszego teatru. I wówczas zaczął spisywać swoje refleksje i wspomnienia, które zapewniły mu trwałą pozycję w literaturze. Powstała wówczas „Galeria moich bliźnich" i — może najgłośniejsza książka Grzymały-Siedleckiego — „Świat aktorski moich czasów". Tak plastycznie i z takim znawstwem mało kto pisał o teatrze.

W parę lat po śmierci pisarza przypomniano obecnie jego głośną książkę, zaludnioną postaciami z panteonu polskiej kultury. Jak każda cenna książka i ta otrzymała godny jej nakład — 6 tysięcy sztuk.

Adam Grzymała-Siedlecki „Świat aktorski moich czasów". PIW, cena 70 zł.

WRÓŻENIE Z PIASKU

Tak się jakoś dzieje, że relacje z dalekich krajów spisywane nie przez dziennikarzy górują nad reportażami profesjonalistów bogactwem wrażeń i świeżości spojrzenia. Mieliśmy już bardzo interesujące książki reporterskie lekarzy, naukowców, inżynierów.

Do tej grupy książek można dodać książkę Bohdana Skawadzińskiego „Wróżenie z piasku". Być może filolodzy, historycy czy etnografowie znajdą w tej książce jakieś uchybienia czy błędy. Czytelnik jednak będzię tę książkę pochłaniał z wypiekami na twarzy.

Dlaczego tak się dzieje? Otóż Skawadziński wyjechał do Iraku nie bardzo rozróżniając Irak od Iranu. Wyjechał zupełnie „zielony", nie nafaszerowany wiedzą, statystyką, historią i etnografią. Po prostu pojechał do Bagdadu, aby stworzyć tam urbanistyczny plan rozwoju miasta.

Iraku „uczył się" od podstaw i to swoje wchodzenie w sprawy bardzo przekonywająco i szczerze opowiada. Nie stara się zarzucić czytelnika mnogością książkowej wiedzy o Arabach. A jednak jest w tej książce ogrom informacji — cennej — autentycznej informacji zebranej w trakcie zawodowych peregrynacji Skawadzińskiego po Iraku.

B.M.

Bohdan Skawadziński „Wróżenie z piasku", Wyd. Więz. cena 65 zł.

WARTO PRZECZYTAĆ

TADEUSZ OLSZAŃSKI — „Za matą i dalej", WSiT, cena 25 zł.
JERZY LOVELL — „Demony nasze powszednie" — Wyd. Iskry, cena 12 zł.
MAREK NOWAKOWSKI — „Smierć żółwia", „Czytelnik", cena 15 zł.
J. A. ROMEIN — „Twórcy kultury holenderskiej", PIW, cena 70 zł.
EDGAR ALLAN POE — „Opowieści niesamowite", Wyd. Literackie, cena 40 zł.
ROMAN BRATNY — „Zgoda na gniew", Wyd. MON, cena 40 zł.
SAMUEL BECKETT — „Pierwsza miłość", Wyd. Literackie cena 10 zł.
MAGDALENA SAMOZWANIEC — „Młodość dla wszystkich", Wyd. Literackie, cena 20 zł.
STENDHAL — „Dziennik", PIW, cena 60 zł.
„PEDAGOGIKA" — praca zbiorowa, PWN, cena 70 zł.

ODGŁOSY naszych marzeń

EWA NURCZYŃSKA prezentuje:

RZYM FELLINIEGO

Prof. dr Aleksander Jackiewicz — teoretyk i historyk filmu, kierownik Zakładu Filmu Instytutu Sztuki PAN, autor prac naukowych z zakresu wiedzy o filmie, nauczyciel i wychowawca wielu twórców i dużego grona krytyków filmowych. Obok działalności naukowej i dydaktycznej uprawia z pasją eseistykę i krytykę filmową. Eseje, recenzje i felietony Aleksandra Jackiewicza znamionuje niezwykle żarliwy, osobisty ton, a olbrzymia erudycja idzie w parze ze znakomitym pisarstwem. Od lat jest filmowym recenzentem „Życia Literackiego" i z 10 numeru tego pisma przedrukowujemy recenzję „Rzymu" Felliniego.

Kiedy oglądam „Rzym" Federica Felliniego (w oryginale film nazywa się „Fellini-Roma") muszę myśleć o „Wałkoniach". O tym pierwszym autobiograficznym (otwarcie autobiograficznym) filmie reżysera. Zimowy pejzaż prowincjonalnego miasteczka, paczka „panów w nowych kapeluszach", jak się przed wojną nazywało młodych ludzi wstępujących w życie, Moraldo, który — niby Fellini z rodzinnego Rimini — wyruszył w świat. W Rzymie działy się dalsze wyprawy Moralda, którego pod imieniem Marcella spotykamy w „Słodkim życiu". W „Osiem i pół" jest kolejny powrót do dzieciństwa, do kolegium księży w Fano, gdzie reżyser spędzał pierwsze lata nauki (chłopiec oglądający w podnieceniu „grzeszny" taniec grubej prostytutki Saraghiny). Jeszcze będzie powrót do pierwszych zachwytów cyrkiem (mały Fellini uciekł z trupą cyrkową) w „Klownach" — i wreszcie „Rzym". Brodaty profesor na czele gromadki uczniów, podwinąwszy spodnie i długie kalesony, niby Cezar przekracza Rubikon, rzeczkę sięgającą po kolana (tu się już zaczyna drwina ze świetności i świętości świata, której pełno w tym filmie), albo wychowankowie kolegium patrzą — przerażeni i zachwyceni, jak w scenie z Saraghiną — na obraz nagiej, grubej baby, kiedy to sprośny wizerunek zaplątał się księdzu między krajoznawcze przeźrocza.

Po raz pierwszy widziałem „Rzym" przed dwoma laty w paryskim kinie niedługo po premierze w Cannes. Miałem przez cały czas wrażenie, że nie tylko ze względu na liczne motywy z innych dzieł pisarza, które się tu znalazły, film znam, ale że nieobce mi są także pewne formy dzieła. Choćby fantazjowanie, zmienianie rzeczywistości (także własnej rzeczywistości) przez reżysera w legendę i mit...

Do „Rzymu", jak do całej twórczości Felliniego, trzeba przywyknąć, bo to twórczość bardzo indywidualna. Ale może w stosunku do „Rzymu" zrobić to najtrudniej. W „Osiem i pół" przynajmniej była względna jednorodność form. Film miał kształt snu. Tu zaś sen wiąże się — nie wiąże się: zderza — z surowym dokumentem, jakby na gorąco chwytanym z życia. W dodatku jest to najbardziej własny film Felliniego, z duszą i ciałem, z zewnętrznością losu autora i wewnętrznością, z nagromadzonymi w pozornie spontanicznym bezładzie faktami, myślami, dzikimi wyobrażeniami. A jeżeli wszystko jednak ze sobą się wiąże i tworzy w końcu dzieło, to dlatego, że myśli zostały sformułowane, wyobrażeniom dana konkretna postać, z drugiej zaś strony partie dokumentalne są sztuczne, zostały zainscenizowane: ta autostrada, i wszystko, co się na niej działo, powstała dla potrzeb filmu na terenie wytwórni. (...)

Z „Rzymem" miałem kłopoty. Po pierwszym obejrzeniu nużyła mnie np. rewia strojów kościelnych. Pamiętam, kiedyś w Cannes, Fellini, gdy mu po premierze „Słodkiego życia" zarzucano, że film drażni i męczy, odpowiedział: „Tak powinno być". Może tak samo powinno być tutaj? Uczucie kiczowatości obrazu wprowadzałoby w szczególny nastrój i pozwalało dostrzegać brzydotę społecznych wyobrażeń, kulturowych znaków i rytuałów. Kiedy pojawiają się na ekranie liturgiczne stroje bez ludzi, tiary bez głów, kiedy materia ubiera pustkę albo manekiny, kiedy wizerunek papieża promieniuje niby w gabinecie figur woskowych przed zachwyconą publicznością, przypomina mi się jeden z kościołów przy via Veneto w Rzymie, w którego podziemnych kaplicach wszystko jest zbudowane z ludzkich kości, albo mumia Beatrycze d'Este w kościele Este, z suchymi rączkami, z wyschniętą twarzyczką okraszoną przerażającym i wzruszającym uśmiechem, poddaną blaskowi jarzeniowego światła.

Nie podobali mi się też motocykliści na końcu filmu, którzy wtaha przemierzają Rzym, wydobywając z mroku, przy pomocy ostrego światła reflektorów, barokowe pałace, ruiny, pomniki, niby drecząc je i ośleplając, i wypełniają nocne ulice przeciągłym grzmotem silników. A później polubiłem tę partię. Jakże pięknie naiwna i czysta jest ona w realizacji! Takie tylko dzieła klasyczne być ongiś potrafiły, bo nie bały się uproszczeń.

Cały „Rzym" jest o brzydocie. O brzydocie głęboko pojętej. Brzydocie lat minionych, teraźniejszości, smutnej brzydocie człowieka. O tradycji już była mowa. A oto owa straszliwa rodzinka, z którą się Fellini zetknął po przybyciu do Rzymu, podstawowa komórka społeczna. A oto wyżerka pantagrueliczna w dzielnicy Albalonga — tak się człowiek żywił. Oto kobiety — potwory w rzymskich burdelach — tak się człowiek bawi. Dziś w dodatku to wszystko obeżli turyści, domorośli młodociani politycy, a Villa Borghese hippisi, którzy uprawiają miłość na schodach placu Hiszpańskiego.

Jest to film smutny. Ma tylko dwa motywy, które ominęła gorycz autora. Pierwszy to, sławny już, obraz domu rzymskiego, nie ruszonego przez czas, zachowanego bez powietrza pod ziemią, odkrytego przez robotników budujących metro. Hieratyczne postacie fresków, mozaiki na dnie basenu zostały oczywiście dla potrzeb filmu zrobione. Tym niemniej, wstrząsające. Jakby czekały na nas przez tyle wieków te obrazy utraconego raju, antycznego piękna, i teraz, pod wpływem powietrza, które do nich wtargnęło, roztapiają się i giną na naszych oczach. Drugi zaś motyw pełen miłości, to Anna Magnani powracająca wieczorem do domu. Fellini nazywa ją matką Rzymu, rzymską Wilczycą. A ona na to z tym swoim niezapomnianym śmiechem: „Fryderyku, idę spać... Nie ufam ci!..."

Mircea Eliade jakby pisał o tych dwóch motywach: „W owych obrazach tęsknoty za rajem istotne jest to, że wyrażają one zawsze więcej, niż doznający ich podmiot mógłby wyrazić słowami. Większość ludzi nie potrafiłaby zresztą wysłowić tego: nie jakoby ustępowali innym inteligencją, ale dlatego, że nie przywiązują nadmiernej wagi do języka analitycznego. Obrazy takie zbliżają jednak ludzi skuteczniej i w sposób istotniejszy niż język analityczny. W istocie, jeśli istnieje pewna solidarność rodzaju ludzkiego, można ją odczuć i „uczynnić" jedynie na poziomie obrazów".

ALEKSANDER JACKIEWICZ

KONRAD FREJDLICH prezentuje:

WITKACY

Konstanty Puzyna od lat związany z miesięcznikiem „Dialog", gdzie od niedawna pełni funkcję redaktora naczelnego, swoimi artykułami krytycznymi i esejami przybliżył czytelnikowi najciekawsze zjawiska współczesnego teatru. Prezentowany tu fragment drukowany był pierwotnie w 8 numerze „Dialogu" z 1961 roku, a następnie ukazał się on nakładem PIW w roku 1962 jako przedmowa do dramatów Stanisława Ignacego Witkiewicza.

Najświetniejsze karty Witkiewicza napawają dzisiaj podobną cieniutką goryczą, co najlepsze strony Brzozowskiego. Wciąż majaczy poza nimi tragikomedia polskiej inteligencji: kiedy trafiają się jej idee istotnie europejskie, rzetelnie nowe — z reguły przychodzą nie w porę. Gdyby Witkacy pisał w innym języku — powiadają naiwni — byłby dzisiaj sławny w całej Europie. Lecz w latach dwudziestych dramaty Witkiewicza próbowano przecież przekładać na francuski, niemiecki, angielski; Boy swój entuzjastyczny esej o Witkacym pisał po francusku dla „Pologne Littéraire"... Nie chwyciło. Być może także z winy polskich talentów do propagandy kulturalnej za granicą. Lecz właściwy powód jest głębszy. Dla niemieckich ekspresjonistów dramaturgia ta była może zbyt nadrealistyczna, zbyt słabo zaangażowana w walki, jakie sami prowadzili; dla Francuzów zaś, czy Anglików problemy, z jakimi mocował się Witkacy, były wówczas jeszcze całkiem niezrozumiałe.

Dopiero w latach 1947—1950 Witkacy mógł był podbić Europę. Dopiero podczas drugiej wojny i okupacji Zachód przeżywa w pełni ten krach wartości, zachwianie mieszczańskiego ładu i dziewiętnastowiecznych pojęć politycznych, terror, głód, paroksyzm strachu i rozpaczy, które Witkacy przeżył wcześniej o ćwierć wieku. Dopiero pierwsze lata powojenne — Armia Czerwona w Niemczech, blokada Berlina, początki „zimnej wojny" budzą w krajach Zachodu ową psychozę daremności i lęku, ową czarną próżnię bez dna, w którą patrzał kiedyś Witkacy. Zacznie się teraz sława Sartre'a, zjawi się camusowska filozofia absurdu, odkrycie Kafki, debiut Ionesco. Problemy rewolucji, mechanizacji, „cywilizacji mrowiska" stają w centrum zainteresowań. W tych także latach intelektualiści francuscy uświadomią sobie, że przestali być pępkiem świata, że nie tylko nie decydują o jego losie, lecz nawet losy Francji rozgrywane są poza nimi; bez osłonek mówi o tym Simone de Beauvoir w „Mandarynach". Kres hegemonii Zachodu w obrębie kultury powróci jako realna prognoza, dawną tezę Spenglera znów, choć ostrożniej, podejmie Toynbee. Coraz więcej oczu zwraca się ku środkowej i wschodniej Europie, rośnie przekonanie, że tu właśnie historia naszego wieku urządziła sobie pierwszy poligon. Na przyjęcie Witkacego taki mniej więcej stan umysłów był potrzebny. (...)

Dziś rośnie u nas zainteresowanie jego dramatem i prozą — bo już Sartre i Ionesco przetarli mu drogę. Do tragikomedii polskiej inteligencji przybywa nowy epizod. A na Zachodzie? Tak, w czasach odkrycia Kafki Witkacy mógł był podbić Europę — obecnie jest chyba na to o dziesięć lat za późno. Może jeszcze wzbudzić zainteresowanie, uzyskać powodzenie — rewelacją już się pewno nie stanie. Inni pisarze wprowadzili jego idee w krwiobieg kultury, a nowe pozycje teatralne, jakie wysuwał, stały się bądź przebrzmiałe, bądź oczywiste, choć nie zdystansowane jeszcze.

Na tle nowszych, dojrzalszych artystycznie utworów razić obecnie może szkicowość sztuk Witkacego, niedoszlifowanie pisarskie, retoryczność. Tę kopalnię pomysłów, świetnych błysków wyobraźni scenicznej, absurdalnego humoru, drapieżnych diagnoz, hipotez, zdeformowanych obserwacji niejeden skłonny byłby w połowie stulecia uznać, jak Kotarbiński, za „embriony dzieł". Lecz taki bywa zwykle los artystycznej awangardy. Zadaniem jej nie jest przecież tworzenie dzieł doskonałych. Zadania jej są dużo skromniejsze i bardziej heroiczne: burzyć skamieliny przesądów, odsłaniać nowe perspektywy, rewolucjonizować świadomość, stawiać swojej epoce pytania drastyczne i nie uchylać się od żadnych, nawet fałszywych, odpowiedzi.

KONSTANTY PUZYNA

ANDRZEJ GRUN prezentuje:

ZAWIADOMIENIE O NAPLUCIU PRZEZ TOMKA W PARYŻU

Jeżeli mówi się dziś o rodzimej krytyce artystycznej, to jednym z nazwisk, które automatycznie przychodzi na myśl, jest nazwisko Andrzeja Osęki. Andrzej Osęka jest bowiem krytykiem, który ma szlachetny zwyczaj „wsadzania kija w mrowisko" — nie gwoli taniej sensacji, a z tej prostej przyczyny, że sprawy sztuki i kultury w ogóle są mu szczególnie bliskie i, co najważniejsze — doskonale znane. Drukowany poniżej fragment felietonu Andrzeja Osęki, przedrukowujemy z „Kultury" (nr 8 z 24 lutego br.).

Z Paryża nadeszła na moje nazwisko koperta. Wewnątrz znajdował się druk tej treści:

„WYMIANA-TOMEK. Zawiadamiam, że 117-ej wymiany dokonano 13.XI.1973 w pomieszczeniach przy ul. Echaude 13, 75006, między: Celebrującym: Tomek Kawiak, „Kava" i Biorącym — Dającym: Pan Yvon Lambert. Rodzaj wymiany: ślina Tomka za 1 torebkę majeranku. W następstwie tegoż powierzona została (panu Y. Lambert) reprodukcja fotograficzna na płótnie (125×50 cm) poświadczenia wymiany. Pan Y. Lambert zobowiązał się zawiesić ją w swym mieszkaniu na okres JEDNEGO ROKU, by przedłużyć na ten czas ideę WYMIANY".

Tyle się dowiedziałem o tym, co nastąpiło 13 listopada przy ulicy Echaude 13 w Paryżu. O samym artyście i procederach tego rodzaju wiem jeszcze jednak coś niecoś. Tomasz Kawiak jest młodym absolwentem warszawskiej Akademii. Twórczość konceptualną uprawia od lat kilku. W październiku 1970 ściął w Lublinie na ulicy Narutowicza ok. 40 wielkich klonów (najpewniej i tak by je miano ściąć, w przeciwnym razie artysta nie w Paryżu by teraz siedział) do wysokości ok. 3 metrów. Pozostawione kikuty obandażował. Aleję amputowanych drzew nazwał BÓL TOMKA KAWIAKA. Oddajmy sprawiedliwość: widok musiał być przejmujący. Choć ja bym czegoś takiego nie robił; (...) A w żadnym wypadku nie mówiłbym o bólu Andrzeja Osęki, dziecięca nieskromność jest mi bowiem obca. No, ale ja nie jestem młodym konceptualistą.

Potem Tomasz Kawiak przeniósł się do Paryża i tam zgodnie z pradawną tradycją stał się KAVA. Zgodnie z tradycją nowszą konceptualizował dalej. Stosował przy tym własne ekskrementy, ładnie zatopione w przezroczyste żywice. (..)

O tym, jak wyglądał ceremoniał wymiany, nie wiem nic. Wyobrażam sobie jednak, że musiała tam być wyłożona dokumentacja stwierdzająca, iż to rzeczywiście Tomek napluł a nie ktoś inny. Bo gdyby ktoś inny, nie artysta napluł — rzecz nie byłaby sztuką, a tak jest.

Ciekawi mnie, jak wygląda idea owej pisanej wersalikami WYMIANY. Nie chcąc artyście wmawiać intencji i uzasadnień płaskich zakładam, że chodzi mu o coś takiego w zamian za blahostkę, jaką jest przecież paczuszka majeranku. Może w czasie tych stu siedemnastu wymian wyzbywał się także i innych kawałków siebie, jak włosy, paznokcie albo nawet krew. Podkreślam, że są to tylko domysły mojej poruszonej całym wydarzeniem wyobraźni.

Jedno jest pewne: brano od niego ślinę i ekskrementy, jego własne, Tomka. Kto brał? W cieniu pozostaje jak dotąd postać pana Yvona Lambert. Wiemy o nim to tylko, że stracił na transakcji paczuszkę majeranku oraz że zobowiązał się wywiesić w swym mieszkaniu dużą inskrypcję, stwierdzającą, iż wszedł drogą wymiany w posiadanie pewnej ilości śliny artysty Tomka.

Nie należy jednak podejrzewać, że pan Yvon Lambert został do tego wszystkiego zmuszony, że doprowadzono go na ulicę Echaude siłą, a teraz ktoś przychodzi i sprawdza, czy nie zdjął przypadkiem upokarzającej inskrypcji. Niech wyjdę na oszczercę, ale na podstawie innych znanych mi wydarzeń artystycznych tego rodzaju sądzę, że pan Yvon Lambert za tę naklejoną na płótno fotokopię świadectwa WYMIANY, na której widnieje jego nazwisko — sporo zapłacił. (...)

Gdyby jednak Tomek lub ktoś taki zjawił się tutaj przede mną i zaproponował „przedłużenie idei WYMIANY", powiedziałbym, że nie dam mu mojego majeranku, że jego piwoiny brzydzą mnie i że nie uwierzy, ale czegoś innego oczekuję jeszcze od sztuki.

ANDRZEJ OSĘKA

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI prezentuje:

MIÓD I SZRAPNEL CZYLI MOWA OJCZYSTA

WITOLD FILLER, absolwent Wydziału Aktorskiego PWST w Warszawie, początkowo aktor Teatrów Stołecznych, w roku 1961 wygrywa konkurs na komentatora teatralnego w „Polityce" i poświęca się pracy publicystycznej: redaktor naczelny „Teatru", autor książek o teatrze: „Teatr, jaki jest", „Melpomena i piwo" „Modele teatru".

Na niedawnym spotkaniu twórców w Radziejowicach mówił Melchior Wańkowicz o bogactwie barw, jakimi rozporządza polszczyzna mówiona. Cytował Włodkowica, Skargę, listę przykładów kończąc roztropnie na Ignacym Daszyńskim. Wysłuchałem Wańkowicza, przyjechałem do domu, otworzyłem telewizor...

Nie, nie będę tu pisał o codziennych gwałtach nad fleksją i składnią. Wiele się zresztą na tym odcinku poprawiło, choć dziennikarza polskiego nie może tu zadowolić poprawa, a jedynie doskonałość. Nie będę przecież pisał o owych nonsensownie akcentowanych „wizytach", o panoszeniu się słówka „wiodący" (walka z tym jawnym rusycyzmem zdaje się nużyć nawet niezmordowanego Ibisa z „Życia Warszawy"), a groteskowych nibyneologizmach, co mnożą się z króliczą rozrodczością, gdy niewprawny sprawozdawca wkracza na grząski dlań grunt terminologii produkcyjnej. Chciałbym pisać o barwie słów (niech-na razie! — i wadliwie akcentowanych!), którymi dziennikarz telewizyjny przemawia do nas „od siebie".

Zdaję sobie sprawę, iż owe „od siebie" ma ukryte granice. Wykreśla je dziennikarzowi profil danego programu czy — to przede wszystkim — ogólny profil telewizji jako instytucji o jasno zdefiniowanych założeniach i zadaniach. Zdaję też sobie sprawę i z tego, że język polityki swoją cienkość uzyskuje często przez swe ograniczenie, przez zakodowanie skreślonych treści w określone zwroty słowne: ileż uroku kryje się za dyplomatycznym sloganem o „szczerej wymianie poglądów"! I zdając sobie z tego wszystkiego sprawę, dostrzegam dalej przepaściastą różnicę w języku, jakim mówią do mnie „od siebie" pan Zyms i pan Andrzej Zalewski, żeby już Małcużyńskiego w to nie mieszać. Niewątpliwie, różnica ta może być również funkcją osobistych talentów, temperamentów, fantazji. Ale zdaje się w głównej mierze być następstwem odmiennych metod w samym założeniu dziennikarskiej gospodarki słowem. O przemyśleniu tych metod niniejszym upraszam, powołując się już nie na Włodkowica i Skargę, ale na zwykłego telewidza, któremu też się przecież coś od życia należy.

WITOLD FILLER

MAGAZYNEK

CIOS KRYTYKÓW

Grupa polskich krytyków filmowych średniego pokolenia podejmie w najbliższych dniach śmiałą polemikę z niesmacznym filmem „Wielkie Żarcie", który oglądano na Konfrontacjach. Na znak protestu zamierzają oni odosobnić się w łazience i przez cały dzień palić na czczo „Sporty".

W WALCE O PRAWORZĄDNOŚĆ

W związku z coraz częściej powtarzającym się utyskiwaniem prasy nad idiotycznymi uprawnieniami pracowników filmu, zezwalającymi im na kupno biletów kinowych poza kolejnością, rozważa się obecnie wprowadzenie dekretu, na mocy którego filmowcy zobowiązani by zostali do ustawiania się w kolejce a wszyscy pozostali obywatele otrzymaliby prawo zakupu biletów poza kolejnością.

OKNO NA ŚWIAT

Pan Dariusz Płochy zajrzał raz przez okno do nieznanego sobie wnętrza. Zdumiony, ujrzał tłum nagich dziewcząt. W przekonaniu, że to filmowcy urządzają sobie orgię, szybko doniósł o tym, tam gdzie trzeba. Niestety, nieznane wnętrze okazało się pomieszczeniem Łaźni Rzymskiej. Pan Dariusz przeprosił niezwłocznie niewinnych filmowców i teraz już zupełnie i-

MAŁE

KINO

Najlepsze te małe kina
KIG

naczej, spokojnie, zagląda sobie przez to okno.

PREHISTORIA FILMU NASZEGO

Archeologia nasza odniosła niedawno jeszcze jeden niebłahy sukces. Na wzgórzu pod Warką odgrzebano szkielet mężczyzny w koronie, z biletem kinowym w dłoni. Po bliższym zbadaniu okazało się, że są to szczątki sympatycznego księcia Grabka II Kinomana. Warto dodać, iż świetnie zachowany bilet kinowy nie był przerwany, z czego wnioskuje się iż książę Grabko zgasł przed udaniem się do ukochanego kina.

Z NASZEJ KORESPONDENCJI

Pan Jan Grypa z Podhala donosi nam z satysfakcją o ciekawym wydarzeniu w jego rodzinie. Oto stosiedmioletni teść naszego korespondenta milczący uporczywie od czasu zamachu w Sarajewie, ocknął się nagle i powiedział głośno i trochę jakby przez nos: „Małe kino"... Bardzo cieszymy się razem z panem Janem Grypą i prosimy o zawiadomienie nas, co też jeszcze ciekawego powie zacny i dziarski staruszek.

DOBRA ROBOTA

W miasteczku Igraszki koło rzeczki Zgaga, przebudowano miejscową pijalnię piwa na salę kinową tak sprawnie i szybko, że żaden z bywalców nie zdążył zauważyć zmiany. Dopiero po tygodniu pierwszy piwosz zorientował się, że duże jasne ciemne jakieś takie. Śmiechu było sporo a potem po obejrzeniu jednego filmu powrócono w szybkim czynie społecznym do starej formy, t. zn. do pijalni piwa, gdyż ważny jest jednak właściwy kolor spożywanego napoju.

WIOSENNE NOWALIJKI

Wiele, wiele nowości przyniesie bieżąca Wiosna w naszej kinematografii. Wymieńmy krótko tylko niektóre z nich. Otwarte wreszcie zostaną, tak długo oczekiwane, pierwsze koedukacyjne kina dwuosobowe. Absolutnie w każdym kinie wprowadzone zostanie sezonowe posypywanie widzów pierwiosnkami, w wypadku zaś nieoczekiwanych przymrozków, posypywać się ich będzie odpowiednim ekwiwalentem pieniężnym. Kioski „Ruchu" rozpoczną sprzedaż dla kinomanów pamiątkowych zamków błyskawicznych, użytych w filmach „Kopernik" i „Chłopi". Dla naszych milusińskich nakręcony zostanie smakowity serial o Kubusiu Puchatku, w którym tytułowemu bohaterowi przywrócone zostanie wreszcie imię i nazwisko bez głupich zdrobnień, to znaczy nazywać się on będzie Jakub Puchaty. Mówi się również o wprowadzeniu błękitnych mundurków dla reżyserów filmowych, w których nasilenie błękitu uzależnione będzie od stopnia talentu.

IDIOTYCZNY POWÓD

Idiotyczny powód do zwolnienia pracownika znalazł dyrektor ZPKWCJNL. Dyrektor oświadczył bowiem ni mniej ni więcej tylko, że pracownik jest głupi jak but i całkowicie nie potrafi wykonać żadnej powierzonej mu pracy.

Współpracownicy dyrektora ZPKWCJNL przyjęli ten niepoważny zarzut z rozbawieniem.

SŁOWO POETY

Pewien poeta warszawski napisał:

„Słowo opierza się i opiórza
Skowrończy się w skowronka
i zawilża w wilgę
Ale może także przepiórzyć się
w przepiórkę
Albo przedzierzgnąć
w dzierzbę".

Nie ma powodów nie wierzyć poecie, że tak jest istotnie, ale w kołach licealistów zapanowała panika. Chodzą bowiem słuchy, że wiersze poety mogą posłużyć jako teksty dyktanda. Prosimy bardzo nie denerwować naszej młodzieży.

BOGDAN, TRZYMAJ SIĘ!

Ze źródeł dobrze poinformowanych dowiadujemy się,

DUŻY

UBAW

Najgorsze te duże ubawy
LSD

że Bogdan w zasadzie nie ma nic przeciwko temu, żeby się trzymać. Na przykład na stanowisku.

DEMENTI

Kolportowane uporczywie wiadomości, jakoby komar z dębu spadł, a Filip wyrwał się z konopi okazały się dość dalekie od prawdy. W istocie spadły tylko akcje dólara na giełdach — komar natomiast bzyka wesoło. Jeśli chodzi o Filipa to gra on z kamienną twarzą w orła i reszkę, w konopiach rozplenił się kąkol, a przez jaszcze, huszcze i chróściele cwałuje na fordzie — mustangu Balladyna...

A poza tym wszyscy zdrowi.

NIEJAKI NOWAK

Niejaki Jan Nowak vel Zdzisio Frajer wyszedł z siebie i dotychczas nie powrócił. Zdzisio Frajer cierpi na szczególny rodzaj alergii, nie można przy nim mówić po polsku, bo zaraz kopie, gryzie i pluje. Najdziwniejsze jest to, że Zdzisio zupełnie po polsku nie rozumie. Potrafi natomiast stać na dwóch łapach, szczekać i aportować.

Przed laty mówiono, że Zdzisio jest łańcuchowym psem czegoś tam. Od tego czasu wiele się zmieniło, ale pieskiem Zdzisio pozostał. Ostatnio choruje na biegunkę zakaźną cossa horama.

Publikujemy fotografię Zdzisia Frajera z czasów, kiedy był jeszcze nieco zdrowszy. Ktokolwiek wiedziałby o losie zaginionego, niech sobie tym nie zaprząta głowy.

Fot. Archiwum

MODELKI SIĘ PRZEZIĘBIŁY

Kapryśna zima i deszczowa wiosna sprawiły, że nasze modelki, dzięki którym mogliśmy prezentować akty na tej kolumnie, przeziębiły się srodze. Grypa, kaszel, stany podgorączkowe — w efekcie żadna nie dała się namówić na kolejną serię zdjęć. Nawet mamione obietnicą osobistego uściśnięcia dłoni Andrzeja Gruna — odmawiały, co świadczy o poważnym zaawansowaniu choroby.

W tej sytuacji „Odgłosy" zmuszone są odwołać się do znanej ofiarności społeczeństwa i zaapelować do serc, piersi i tak dalej piękniejszej części czytelniczek naszego tygodnika. Przed laty rzuciliśmy hasło: „Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów" — dziś wołamy: „Nie przeziębione dziewczęta na łamy „Odgłosów".

Ponieważ kryzys paliwowo-energetyczny sprawił, że nasze redakcyjne atelier jest również nieopalane, chętnie widzimy fotogramy wykonane w warunkach domowych naszych ewentualnych modelek. Zdjęcia może wykonać np. kolega z pracy, szwagier albo sąsiad — pozostawiamy to uznaniu naszych Czytelniczek.

Warunek jest jeden: zdjęcia muszą przedstawiać dziewczęta nie przeziębione.

Czekamy: ADRES: „ODGŁOSY" — „MAGAZYNEK", ŁÓDŹ, PIOTRKOWSKA 96.

POWIĘKSZENIA

SYSTEMATYKA SZOKÓW

W jednym ze sprawozdań z kolarskiego wyścigu Paryż—Nicea, publikowanych w „Przeglądzie Sportowym", czytamy:

„W chwili kiedy nadaję te słowa, wiadomo na pewno, że Szozda niczego nie złamał, mocno tylko stłukł okolice nerek i doznał zrozumiałego szoku".

Od tej pory w medycynie powinna obowiązywać nowa systematyka szoków, która dzieli je na zrozumiałe i niezrozumiałe.

CHWILA SZCZEROŚCI

W „Literaturze" Jerzy Andrzejewski w „Z dnia na dzień", której środy, doszedł do wniosku:

„Żadnej korzyści z kontynuowania wątku rozdwojenia na JA' i JA. Również żadnej wewnętrznej potrzeby, aby tę grę prowadzić dalej."

Szkoda, bo mieliśmy cichą nadzieję, że autor dojdzie do rachunku różniczkowego.

SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE

HANS CHRISTIAN ANDERSEN

DZIECIĘ ELFÓW

Pewna dobra kobieta bardzo pragnęła mieć maleńkie dziecko, ale nie wiedziała, skąd by je wziąć. Poszła więc do czarownicy i rzekła:

— Tak bym chciała mieć maleńkie dziecko. Powiedz mi, co tu zrobić żebym je miała?

— O! to nie trudno — odpowiedziała czarownica — mogę ci doskonale poradzić. Masz tu ziarnko jęczmienia — ale to nie jest takie zwyczajne ziarnko, które sieją na polu albo sypią kurom na pokarm: zasadź je starannie w doniczce od kwiatów a zobaczysz, co z tego będzie.

— Dziękuję — rzekła poczciwa kobieta i zapłaciła jędzy dziesięć groszy, bo tyle to ziarnko kosztowało.

Po powrocie do domu, zasadziła je starannie w doniczce od kwiatów i zaraz pokazała się mała roślinka, okryła się pięknymi listkami, a w środku wyrósł jakiś kwiat złotopurpurowy, podobny do tulipana, tylko zamknięty jak pączek.

— Cóż to za prześliczny kwiat! — rzekła kobieta i tak była zachwycona, że całowała złote i czerwone płatki. W tej samej chwili jednak kwiat z wielkim łoskotem otworzył się i w środku, na zielonym dnie kielicha, gdzie zwykle mieści się słupek kwiatowy, stała sobie prześliczna mała dziewczynka.

Nazwali ją Odrobinką, gdyż była maluchna jak młoda pszczółka, tylko daleko zgrabniejsza.

Kobieta wzięła zaraz łupinkę orzecha, ażeby w niej urządzić kolebkę dla swego dzieciątka: fiołkowe płatki posłużyły za sienniczek, a jeden płatek róży za kołderkę.

W nocy Odrobinka spała wybornie, a w dzień się bawiła na stole. Dobra kobieta postawiła na nim talerz z wodą, otoczony wiankiem kwiatów, których łodyżki były zanurzone w wodzie; listek tulipanu zastępował łódkę, dwa pręciki kwiatowe stanowiły wiosła i Odrobinka pływała sobie po talerzu od jednego brzegu do drugiego. Ślicznie to wyglądało!

Umiała też śpiewać i tak ładnie, że nie można tego opisać.

Jednego razu w nocy, kiedy Odrobinka spała sobie spokojnie w kołysce, przez wybitą szybę wskoczyła do pokoju ropucha. Szkaradne to było stworzenie: ciężkie, grube, mokre — i bardzo ciekawe. Zaraz spostrzegła Odrobinkę, śpiącą pod różanym płatkiem.

— Hm, hm — mruknęła — bardzo ładna żona dla mojego synka.

I razem z kołyską zabrała dziecinę, wyskoczyła do ogrodu i zaniosła ją do swego mieszkania.

Znajdowało się ono w czarnym, gęstym błocie nad strumieniem. Syn ropuchy brzydszy był jeszcze od matki, chociaż bardzo do niej podobny. Koak, koak, breekekeks? — tyle tylko umiał powiedzieć, gdy ujrzał Odrobinkę.

— Nie mów tak głośno — szepnęła mu matka — obudzisz ją i może nam uciec, bo jest lekka jak puszek łabędzi. Trzeba ją przenieść na liść wodnej lilii, aż na środek strumyka. Tam będzie, jak na wyspie, a tymczasem przygotuję dla was mieszkanie w głębi błota.

Po powierzchni strumienia pływały zielone, okrągłe liście wodnych lilii. Ropucha wybrała największy, który zarazem leżał najdalej od brzegu, i na nim umieściła łupinę orzecha ze śpiącą Odrobinką.

Kiedy dziewczynka zbudziła się rano i zobaczyła, gdzie jest, zaczęła płakać. Wokoło była woda głęboka, ani sposób dostać się z listka do brzegu.

A ropucha tymczasem urządzała w błębi błota mieszkanie dla młodej pary. Przyozdobiła ciemną i szkaradną jamkę trzciną i wodnymi roślinami, ażeby się synowej podobała, popłynęła wraz z synem do listka, by przenieść kolebkę panny młodej.

Ujrzawszy Odrobinkę ukłoniła się jej w wodzie bardzo głęboko i rzekła chrapliwym głosem:

— Oto mój syn, mościa panno; zamierza ożenić się z tobą i właśnie urządzamy wam wspaniałe mieszkanie w głębi błota.

— Kok, koak, breke-ke-keks — powiedział syn ropuchy.

Zabrali piękną kołyseczkę i odpłynęli znowu, a Odrobinka usiadła na liściu i płakała okropnie, bo nie chciała mieszkać u brzydkiej ropuchy i być żoną jej syna.

Małe rybki, co pływały w wodzie koło listka, słyszały całą rozmowę ropuchy, a teraz im przykro było słuchać płaczu dziecka. Więc wychyliły główki nad powierzchnię wody, aby zobaczyć młodą narzeczoną; ale na widok prześlicznej dziewczynki tak im się jej żal zrobiło, że postanowiły ją obronić.

— Nie bój się — powiedziały — nie dostanie cię brzydka ropucha.

Zebrały się wszystkie razem dookoła łodyżki, na której się trzymał listek, i przegryzły go ostrymi ząbkami. Listek popłynął z prądem strumyka daleko i ropucha już go dogonić nie mogła.

Odrobinka cieszyła się bardzo z tej podróży. Wszystko bawiło ją niezmiernie: mijała wsie i miasta, łąki, pola, lasy, a ptaki na gałązkach przyglądały jej się i śpiewały wesoło:

— Patrzcie, patrzcie tylko, jaka prześliczna dziewczynka! A jaka malusieńka!

Odrobinka uśmiechała się do nich nawzajem, ale listek płynął dalej, aż do innego kraju.

Prześliczny biały motyl usiadł na listku lilii, aby się lepiej przyjrzeć maleńkiej dziewczynce. Słońce świeciło ślicznie, woda błyszczała jak srebro, wszystko jej się podobało. Zdjęła swój pasek i przywiązała nim motyla do listeczka. Teraz płynęła jeszcze prędzej.

Wtem — och, jak się przelękła! Chrabąszcz ogromny porwał ją z listka i uniósł het, wysoko, na drzewo.

Najbardziej jej żal było pięknego motyla, którego przywiązała do listeczka: jeśli się nie urwie, umrze chyba z głodu.

Ale niedobry chrabąszcz nie troszczył się o to. Posadził ją wysoko na wygodnym liściu, przyniósł jej miodu z kwiatów i powiedział, że jest bardzo, bardzo ładna, chociaż niepodobna wcale do chrabąszcza.

Wkrótce zaczęły schodzić się inne chrabąszcze, mieszkające w pobliżu, aby zobaczyć Odrobinkę. Gospodarz sadzał gości na najpiękniejszych liściach.

— Ach, jakaż ona biedna: ma tylko dwie nogi! — zawołała jedna młoda chrabąszczówna.

— A różków wcale nie ma — dorzuciła druga.

— A jaka cienka w pasie! Fe, podobna do człowieka!

— Szkaradna! — zadecydowały wszystkie razem.

Naprawdę Odrobinka była bardzo ładna i taką się wydała chrabąszczowi, który porwał ją z listka lilii. Ale gdy wszyscy zaczęli ją ganić, uwierzył też, że jest brzydka i już chciał się jej pozbyć. Odniósł ją więc na łąkę i posadził na polnym kwiatku, żeby tylko nie mieć jej w domu i żeby sąsiedzi nie śmieli się z jego gustu.

Odrobinka płakała bardzo, że jest taka brzydka, iż chrabąszcz nawet nie chce patrzeć na nią. Ale cóż miała robić? Przecież naprawdę była bardzo ładna.

(Fragment)
Opracowała: C. Niewiadomska

Hans Christian Andersen (1805—1875), pisarz duński; światową sławę zyskały jego „Baśnie" o ogromnych wartościach humanistyczno-filozoficznych, nierzadko zabarwione ironią i melancholią. Pisywał także powieści.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch". — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Zam. 601. C-4. Nr indeksu 37006 .